



## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**PRENUMERATA „PRAWDY”**  
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośnieniem do domu.  
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicą: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Zielna Nr. 7-a

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.  
Redaktor przyjmuje interesów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.  
Rekopisy drobne nie zwraca się.

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism periodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazakiński Nr. 7.  
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.  
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

**TREŚĆ.** *Polityka.* Środki obronne. — Tydzień polityczny. — *Sprawy ekonomiczne.* Z Galiicy p. Leszka. — *Powiaty.* Skłace wiejskie IX. Kopoluszek p. X. X. — *Życie społeczne.* Listy krakowskie p. W. P. — *Badania naukowe.* O kapitale III. p. Ad. J. Cohna. — *Statystyka literatury* p. R. — August i Aleksander Stokert. Słownik biograficzno-historyczny polski p. Henryka Biegelsena. — *Literatura i sztuka.* Literatura francuska p. P. — Teatr p. S. K. — *Reglony.* Librum veto p. Posa Prawdy. — Na widnokręgu p. Nieborskiego. — Różne głosy. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi.

### POLITYKA.

#### „ŚRODKI OBRONNE.”

Ks. Bismark nie grozi daremnie a polaków nienawidzi szczerze, już więc rozpoznaję przeciwnym „działanie obronne” w Poznańskim, na ile mu konstytucya pozwala. Atak do „średniowiecznej tlenicy” odbędzie się jednocześnie z kilku stron i postępuje szybko. Pierwszem mocnem uderzeniem jest nominacya Ks. Dindera na arcybiskupa poznańskiego. Wyborem tym Ks. Bismark pozbawił się kłopotu, a Leon XIII. rzekłszy patronatu nad dąszeniami narodowymi katolików w Poznańskim. Zachował on tam sobie jedynie tytuł głowy kościoła, ale opiekę — że tak powiemy — polityczną cofnął. Mianując Dindera rzekł on niejako do jego „owieczek”: „o życiu swoim myślcie same, abyście tylko umierały w mojej wierze — no, i nie zapominały o ofiarach ze swojej wolny dla mnie.

Ustępstwo to kancelarz niemiecki oceniać musi bardzo wysoko, skoro oświadczył gotowość uniawiania prawie wszystkich ustaw majowych. Wniósł on już do parlamentu projekt, znoszący egzamina państwowe dla duchownych oraz trybunał dla spraw kościelnych, a jednocześnie zezwalający na tworzenie konwiktów, niepodlegających kontroli władz świeckich. Rząd zatrzymał sobie tylko prawo wiedzy uprzedniej o nominacyach księży.

Jak widzimy za Dindera dał dużo, bo wszystko niemal, co katolikom przed 13 laty odebrał. Ale ten wypadek opłaca mu się — w Poznańskim.

Jednocześnie zaatakowano żywioł polski od strony szkoły. Świeżo wniesiony został do sejmu projekt, orzekający, że „mianowanie nauczycieli i nauczycielek

(w W. Ks. Poznańskim, Prusiech zachodnich i okręgu regencyjnym opolskim) należy tylko do państwa; państwo przyjmuje na siebie pod względem utrzymania szkół ludowych na wsi te obowiązki, które według ogólnego prawa krajowego (Landrecht) spoczywały na właścicielach odnośnie do poddańcy.” Naturalnie wszystkie rozporządzenia poprzednie, o ile przeciwnie są obecnemu, mają być unieważnione. Dodać tu należy, iż zarazem przedstawiono sejmowi inny projekt, obniżający kary za nieuczestniczenie dzieci do szkół pozatkowych (niemieckich) w Księstwie Poznańskim, na Szląsku i hrabstwie Kłasko.

Trzeci atak wykonano ze strony sądownictwa. Koło polskie w Berlinie zażądało ustanowienia w sądach tłumaczów dla nieznaających języka niemieckiego. Żądaniu temu odmówiono, natomiast połączono — jak widać z ostatnich obrad sejmowych — sędziów urzędniczych polskiego pochodzenia przenosząc ich na posady w prowincje czyste niemieckie.

Najścisłej wszakże zamachom jest zapowiedziany przez ks. Bismarka a obecnie wyrażony we wulgaru prawodawczym projekt wykupu ziemi z rąk polskich i osiedlenie na niej Niemców. Mieści on w sobie tak rozległą i tak namiętną germanizacyjną operację, że podajemy ją w brzmieniu dosłownem:

§ 1. Rząd pruski otrzymuje do rozporządzenia sumę 100,000,000 marek, dla zmniejszenia żywiołu niemieckiego w prowincjach Zachodnio-pruskiej i Poznańskiej i zapobieżenia dążnościom polonizacyjnym za pomocą osiedlenia włościan niemieckich i robotników; to jest, aby mógł z tego funduszu: 1) zakupować ziemię, i 2) pokrywać koszty, powstające z pierwszego urządzenia osadników i regulowania stosunków gminnych, kościelnych i szkolnych nowych osad średniego lub małego rozmiaru, albo nawet całych gmin wiejskich, jakie powstaną na grun-

tach zakupionych lub wydzielonych z dóbr skarbu.

§ 2. Przy rozdawaniu pojedynczych osad należy mieć na względzie, aby skarb państwa strat nie ponosił, a przeto ustępować gruntu nowym osadnikom na własność, albo czasowo je wydzielając.

§ 3. Kwoty, jakie z tytułu zwrotu kosztów przy nabyciu, czy też w formie czynszu dzierżawnego wpływać będą, obracane być mają na rzecz i cel funduszu w § 1 oznaczonego.

§ 4. Suma zakładowa funduszu, w § 1 wymieniona, utworzy się przez wypuszczenie odpowiedniej wysokości obligacji procentowych. Czas, miejsce wypuszczenia, wysokość stawk pojedynczych, stopę procentową i warunki spłaty i kursu tych obligacji oznaczy minister skarbu, stosując co do kontroli, umorzenia i przedawania procentów od tej pożyczki ogólne przepisy ustawy z d. 19-go grudnia 1869 r.

§ 5. Czynności sądowa, bezpośrednio z urzędzeniem nowych osad związane, z wyjątkiem spornych, wpływ w księgach hipotecznych itp., będą dopełniane bezpłatnie i bez ponoszenia kosztów stępła.

§ 6. Sprawozdanie z obrotu funduszu i postępu wykonania ma być składane sejmowi corocznie.

§ 7. Wykonanie tej ustawy, o ile, jak w § 4, nie należy do ministra skarbu, będzie powierzono oddzielnej komisji pod zawiadywaniem ministrem stanu.”

Jakkolwiek — moralna, ekonomiczna, czy polityczna krytyka tego „środka obronnego” byłaby, mniemamy, trudną zupełnie zbędną, gdyż każdy z naszych czytelników na nią się zdoła; my zaznaczymy tylko, że ks. Bismark, posiadający stałą, podana wielkość w sejmie i dla tej operacji projektowaną ustawę zyska, chociaż to nie odbędzie się bez pewnego przyniosu. Dopóki bowiem wyłączenie z ziemi polaków pruskich było pogroźką, fraszem parlamentarnym dopóty bardzo się „patryotom niemieckim”

podobno, jako „idea narodowa.“ Ale gdy od tych patryotów żądano 100 milionów marek, rozwłoszone twarze przeciągnęły się smutnie wobec tego wydatku „narodowego.“ Rozczarowanie jest tu większe, że rząd nie opatrzył swego projektu żadnymi motywami, inności słowy, nie uprawdliwił dostatecznie swoich wymagań i zamiarów. Nawet w łonie konserwatystów odzwiają się głosy, napomykające o potrzebie dokładnego przedstawienia stosunków w prowincjach polskich — ofara zaś 100 milionów marek jest zbyt wielka, żeby ją można było zaliczyć na ciemno. Niemco z uczułem łatwo ośtyga, a w każdej sprawie chce być szczegółowo objaśnionym, nawet wtedy, gdy z góry przyrzeka swą uległość. Skutkiem tego można się spodziewać bardzo burzliwych rozpraw.

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Rokowania pokojowe w Bukareszcie irwają ciagle, ale coraz bardziej staje się widocznem, że obie strony nie zbyt wierzą w pomyślne zakończenie układów. Turcyja i Bułgaryja domagają się stałych rękoma, Serbia znowu widocznie pragnie odwieść całą sprawę i nie zaprzestaje uzbrojeń. W Pessio ogłoszono tworzenie legionu węgierskiego, który w razie wojny popieszy na pomoc serbom. Wobec tego rząd bułgarski oświadcza, że przed 1 marca postawi równie armię na stopie wojennej. Turcyja przygotowuje się także do zbrojnego wystąpienia, w Grecyi ludność miejska popycha rząd do wojny, zjawiały się odczoły, grożące rewolucyą, jeżeli król i gabinet nie usłuchają głosu narodu. Nawet spokojna Rumunia, dotychczas zachowująca się biernie, przypiesza roboty okolo ufortyfikowania Bukaresztu, sprowadza z zagranicy zapasy wojenne i powiększa armię o trzy pułki milicyi. Takie to są obecnie „pomyślne widoki utrzymania pokoju.“

Sprawa ugody turecko-bułgarskiej wy-szuwa się na pierwszy plan, od jej zatwier-

dzenia bowiem lub odrzucenia zależy w znacznej części dalszy przebieg wypadków na półwyspie Bałkańskim. Umowa ta korzystna bardzo dla Turcyi, która zamiast niepewnego lennika i gotowej odrozwiny w każdej chwili prowincyi, poyskuje silnego sprzymierzonego, kosztom niewielkich ustępstw, niemniej korzystną jest i dla samodzielnego rozwoju Bułgaryi. Opieką bowiem turecka nie jest bynajmniej groźną dla młodego państwa, owszem daje mu możność skupienia i wyrobienia sił narodowych. Ale obie umawiające się strony zapominają, że inne wielkie państwa mają, jak się mówi, swoje interesy na półwyspie Bałkańskim. Ugoda wywołuje już uwagi lub protesty mocarstw, najogłośniejszy wystąpiła Rosya, która jako opiekunka chrześcijańskich bułkańskich oświadcza, iż nie może zgodzić się na oddanie wojsk bułgarskich w razie wojny pod komendę turecką, oraz na odnawianie co 5 lat nominacyi księcia Aleksandra na wielkorządcę Rumelii. Porta odpowiedziała już, że pierwszy sporny warunek jest tylkokoświedzeniem zwierzchnictwa praw sułtana, na inne zaś zmiany przestanie chętnie, jeżeli mocarstwa zgodnie je proponują. Obecnie w przedmiocie tym toczą się poufne narady między gabinetami i dopiero wspólnie umówione punkty przedstawione będą do zatwierdzenia nowej konferencyi, jeżeli ta zbierze się kiedykolwiek.

W wiedeńskiej Radzie państwa lewica wzięła dwa projekty, jeden z nich miał na celu uznanie języka niemieckiego, jako państwowego, chociaż z pewnymi ustępstwami dla języków miejscowych. Rozumie się, projekt ten upadł, i tak samo los spotka drugi, postawiony przez hr. Corominię, dotyczący ustanowienia osobnego trybunału dla sprawdzania wyborów, co dotychczas należy do parlamentu. Przeciwni tym reakcyjnym zachciankom energicznie bardzo powstał Hansner, który zwrócił uwagę na niebezpieczeństwa, jakie grożą wszędzie prawie instytucjom swobodnym.

Zaburzenia ludowe w Anglii z Londynu rozszerzyły się na prowincye, zwłaszcza w Leicester rozruchy przybrały szorokie rozmiary. Dział nie ulega wątpliwości, że na czele ruchu stali członkowie t. z. ligi demokratyczno-socyalnej Hyndham, Burnes i inni. Czterech z nich, którzy występowali jako mówcy na meetingu otrzymali wezwanie do sądu, przedtem jednak posłali rządowi zawiadomienie, że w przyszłą

niedzielę urządzą nowy, wielki meeting. W całej tej sprawie rząd angielski postępuje nadzwyczaj taktownie i rozwrotnie, łagudząc namiętności tłumy, które łatwo rozjrzężyć można było niewłaściwą surowością. Polityka tego rodzaju pozwala spodziewać się przedkioju usmierzania rozruchów, niepodobna się ona jednak *Kuryerowi warszawskiemu*, który pragnąłby surowego skarcenia „rozmarnego molocha.“ Jaka to szkoła, że p. Gladstone naszego *Times'a* nie czyta.

Gazety zajęte sprawami bałkańskimi nie zwróciły uwagi na zamach stanu, jakiego dokonał rząd duński, który postanowił złamać opór przedstawicieli narodu. Król wydał dekret, upowazniający rząd do rozporządzania sumami, potrzebnymi na pokrycie wydatków bieżących. Wice-prezesa folktingu skazany został na 6 miesięczne więzienie i to, słowem pogwałcone konstytucyę niejednokrotnie. Obecnie folketing protestuje przeciw samowolnomu postępkowi króla, główny sąd uwalnia wice-prezesa od odpowiedzialności za obrzę majestatu. Obie strony wyraźnie określiły swe stanowisko i starcie między rządem a przedstawicielami narodu przybiera coraz ostrzejszy charakter.

## SPRAWY EKONOMICZNE.

### Z GALICYI.

Lwów, 5 tutejszego 1886.

Zuowa bankructwo. — Bank stanczyński. — Zaliczyciel o historycznym nazwisku. — Losy galicyjskiego zakładu finansowego. — Smutny epilog.

Zuowa bankructwo! Zuowna iść niegrozej! najpierw w styczniu 1884 roku głośno pamięci „bank wołoskieści“, bez miała w rok potem nastąpił upadek „galicyjskiej kasy zaliczkowej“, teraz *wszescie* styczeń przyniósł nam bankructwo „galicyjskiego zakładu zastawniczego i kredytowego.“ Ten ostatni w codziennem *życiu* nosił miano mniej szumnie brzmiące, niż urządzone tytuł, zwano go bowiem *bankiem stanczyńskim*, dlatego, że najuboższa ludność brała w nim pożyczki na zastaw części ubrania, naczyni gospodarskich itp. i ta

## POWIEŚĆ.

### SZKICE WIEJSKIE.

#### IX. Kopciuszek.

Marcysia jest piątą i najmłodszą pociechą Tylenieckich. Między dość licznem gromem braci i siostr odróżnia się mianowicie rozczochrana, czarna głowa od jasných, równo rozczochranych czupryn reszty rodzeństwa. Ta reszta ma także jasne włosy, jasne oczy i czerń bułą, przynajmniej w zimie. Marcysia jest zawsze śniada.

— Wogo się ta cyganka wdała?... — wyrzeka uierz Tylenieka.

To samo myśli i stary, ale tylko wtedy, kiedy słyszy pytanie żony. Zresztą jest mu wszystko jedno, jakie oczy, włosy ma Marcysia. Za kolacją chodzi — jak inne, podwieczorki — jak inne. Rzeczywiście: pasie świnie — jak i inne, a nawet roboti to weseli. Wywija kody na zeschłej ziemi raz po raz i śmieje się. Dziewuchy podziwiają Marcysię, ale jej nie lubią.

— Cyganka — mówią — jak kolia przwinio, nawet się w łób nie podrapie.

Chłopaki także nie lubią Marcysi; nazywają ją: beczula. Dziewuha niczaz rozmyśla, co by mogło znaczyć; robi w tym względzie przypuszczenia. Myśli, że pewno z powodu dużego brzucha tak ją przezywają, ale z niego wyrosłoby Tymczasem jednak nie wyrasta, a rozpycha go razowem, pieczonkami kartofkami, najwięcej grochem. Czasem sama się dziwi.

W domu popychają Marcysię, wysługując się nią starsze i młodsze siostry.

Jada samą przy kotlinie. Z początku przyzwalała się do wspólnej miski, ale dostawała od braci lżyką po głowie.

— Cyganka do kotliny! — wołali.

I szła spokojnie na swoje miejsce.

Matka i ojciec milczeli; nie ujął się nikt za Marcysię — kocmoluł taki.

Dziwoczynio na myśl nie przychodziło, żeby mogło być inaczej; tępa głowa, zwyczajni Patrzy tylko zazdrośnie, jak rozdzielno łowi skwarki, ogromne skwarki! W jej miszeczce czasem pływają jeden, dwa; czasem nie, oczy tylko; ona łowi i to oczy.

I ubranie ma liche. Wszystkie stare sukienki siostr dozdiera. Ale jak i to nie martwi. Za długą spódnice podgina z prawego boku, żeby było lżej podskakiwać, a resztę, jeżeli jest błoto, szarga. Kaftany bywają także za obzerno. Zakłada też jedną stronę przódów na drugą i przytrzymuje lewą pięścią.

— Co trzymasz w garści?... — śmieją się z niej chłopaki i biją po rękę.

Marcysia każdemu odda — jeśli nie pięścią, to kamieniem.

— Ta beczulka na każdego się cipiń! — mówią o niej.

Raz zmówili się we trzech i Marcysię obili. Poskarżyła się matce, ale pewno pozostawiała; dostala jeszcze i od matki.

— Nie zazwyczaj z nimi, niwstydzimiel! To też nie skurczy się więcej. Sama zuka zadośćuczynienia. Ścisła pięści i bije kogo się da.

W święta, niedziele, kiedy „narody“ wylegają na łąkę, na gościnie, Marcysia w podskokach leci, leci za nimi z tyłu, w zabawkę jednak udziału nie bierze. Zrazu bowiem dostaje w kark od którego z chłopków.

— Cyganka wou!... — wrzeszczą gromadka.

Cyganka staje za drzewem, lub siadu zdaloko. Nie płacze nigdy, tak lubi patrzeć, jak grają w „fatra“, śmieje się w głos razem zinnymi. Czasem siedzi zdaleka z podwinętemi nogami, bierze je w ręce i tak się bija. Czasem śpiewa. Nie próbuje już bawić się z innymi; wie, że ją zawsze obija.

Miała już dziewięć lat, kiedy pierwszy raz poszła do kościoła. Siostry w święto



właśnie gałąź czynności banku najsilniej wpadła w oczy. Dzieje zbankrutowanego zakładu to jedna znowu z tych smutnych kart, ilustrujących upadek społeczeństwa naszego a przedewszystkiem naszych „u-przywiejlejących się”. Założycielom instytucji nie był żaden odziedziczenie, łowiacy złoto w mętnej wodzie, nie był nim ani Niemiec, ani Żyd, na których najchętniej zwykle staramy się zwalić całą winę, ale awój z krwi i kości, noszący nawet nazwisko historyczne — Imci pan Kazimierz Gamrat. Był on pono dawniej dyrektorem cukrowni hr. Potockiego na Ukrainie, później brał udział w innych tego rodzaju przedsiębiorstwach, aż wreszcie po rozlicznych niepowodzeniach rozbił swój namiot we Lwowie. Złoczywszy się z niejakim Tadeuszem Okszą Orzechowskim, człowiekiem widocznie nie lada przedsiębiorczym, bo obecnie, wolno donieść dziennikarskich, zakłada telegraf podmorski... w Portugalii, potrafił chwycić „na kawał” przedewszystkiem bardzo znozonego obywatela p. Józefa Kruszewskiego, rozporządzającego niewielkim kapitałikiem s następnie kilku lwowian, którzy z nim razem przystąpili do założenia banku. Ogłoszono udział w wysokości przeszło 300 000 złr., podpisano akt założenia zakładu i spółki, uzyskano zezwolenie władz i w oserow roku 1877 przybył Galicji nowy bank. Oczyszczywszy, że pp. Gamrat i Orzechowski byli dyrektormi — potrzeby rady nadzorczej lub komisyj kontrolującej na razie nie uznawano.

Jasneż nie, jakie losy mogły oczekiwać tak znakomitą instytucję. Byłaby ona runęła bardzo szybko, rozporządzając tak olbrzymim kapitałem zakładowym (30 tysięcy złr!), gdyby nie brydety osobisty Kruszewskiego z jednej a pomyślność założyciela z drugiej strony. Dzięki tej pomyślności uzyskano już z początkiem roku 1878 od władz zezwolenie na otwarcie nowego oddziału: wkładki na książeczki oszczędności. Ciągłe reklamy, wysokie odsetki (dawano z początku 8% — rzecz, jak wiadomo, w uczołwych księgach oszczędności nie byłaby) zwabily nieopatrnych. Już w pierwszym roku po dziejiwioniesieniem istnienia nowego oddziału wkłady te wynosiły powadną sumę 158 tysięcy złr! W tym samym przeciągu czasu pobrał zakład z tytułu odsetek za pożyczki udzielone na zastawy sumę 26 tysięcy złr. w dwa lata później 32 tysięcy

a w roku 1882 (jednym, z którego pozostał bilans podany do publicznej wiadomości) już 44 tysięcy złr. Jeżeli tę ostatnią sumę przyjąć za podstawę do obliczenia odsetek pobranych w następnych 3 latach aż do upadku banku, to ogólna suma procentów osiągniętych przez zakład jedynie w tym jednym dziale wyniosie pokładną sumę 300 tysięcy.

Nie choć szeregogłowo opowiadać dalszych losów banku od roku 1878. Udziałem pożyczek lombardowych na lichwiarskich procent (24% od stał), chwytało nieopatrnych na łop, obiegując im wysokie odsetki od wkładów na książeczki oszczędności, a od czasu do czasu urządzano interesy, tracące pospolitym „szwindlem”. Wprawdzie opierałszy na dobre Kruszewski opamiętał się, a spostrzegłszy, z kim ma do czynienia i jakie skutki może ta sprawa za sobą sprowadzić, wciągnął kilka znanych osobistości z tutejszego świata finansowego do akcyj, która miała spowodować lepsze i uczciwsze kierowanie zakładem, ale wszystko na nie się nie zdało. Zmianiono statut, wprowadzono radę nadzorczą i komisyję kontrolującą — dyrektorowie robili po dawnemu i zmusili tylko uczołwych do umyćia sobie rąk i ustąpienia. Wreszcie i sam Kruszewski wyszedł w r. 1873 z dyrekcji. Dni banku były poliożone. Ostatni raz zamknął bilans za rok 1882, odtąd usuał się stale do kontroli publicznej tak, że go z tego powodu w roku 1885 ze związku stowarzyszenia finansowych galicyjskich musiano wykluczyć.

Wreszcie „przyszła kreska na Matyska”. P. Gamrat wyjechał za urlopem kilkumiesięcznym (Orzechowski już dawno pojechał szukać gdzieindziej szczęścia), przestano wypłacać wkłady, głuche wieści zaczęły krążyć po mieście o bankructwie, od pewnego pięknego poranku sąd musiał wdać się w tę sprawę. Obecnie równocześnie toczy się śledztw! karne a w sądzie cywilnym ogłoszono upadłość banku. Najsumniejszemu los czeka biedaków, którzy umieszczały swe pieniądze w oym banku. Pokrycie jest bardzo małe, gdyż najniższejsze zastawy re lombardował bank w innych zakładach a pozostała tylko co gorze. Jakże zaś warstwy ucierpiały na bankructwie szmacianego banku, wymownym niech będzie dowodem, to że ogłoszono w sądzie przetasy (z książeczek oszczędności) w wysokości

5 złr., 10 złr. itp. a tylko niewiele znaczniejszych, z tych jedna na kilkadziesiąt tysięcy złr. Wedle wykazu samego banku wkłady na książeczki oszczędności wynosiły z końcem 1885 roku sumę 99,873 złr. Ilu więc ucierpił!

Koniec już to smutno opowiadania. W przeciągu 2 lat 3 znaczące zakłady finansowe w upadku a czwarty (Obszarze rolniczo-kredytowej zaawędzie dla Haliżki i Bukowiny) ratowany jedynie zagranicznymi fundusami od nieochyblnej zguby — prawda, to objaw niewątpliwie zdrowia społecznego i czujności władz, pod których okiem to wszystko się dzieje!

Leszek.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### LISTY KRAKOWSKIE.

Kraków, 7 lutego.

Komitet Miekiewiczowski sprasował na 15-go bież. m. dla przyjęcia lub odrzucenia projektu Matejki, wykonanego w gipsie, w olbrzymich rozmiarach przez pp. Rygięra i Gadamskiego. Będą, a raczej są już więc dwa projekty jednakże, bo mistrz artystom na odmianę nie pozwolił. Trzeba będzie w każdym razie przez trzech ludzi zapłacić, choćby ona tylko miła do ekaperymentu posłużyła (słychad o 12 000 fl.). Jak wiadomo, podkomitet, wybrany na ostatnim posiedzeniu zeszłego roku w dniu 16 kwietnia do przeprowadzenia w rzemie Matejkowskiego pomysłu, złożony został umyślnie z samych żywcich Matejów osób, a znowem unikano wyraźnie. Był nim istotnie tylko jeden prof. Mryan Sokolowski, ale ten ustąpił, widząc, że nie poradzi, a zrobił to publicznie przez dzienniki. Panowie podkomitety dawałi gospodarwali bez przeszłości dawali zadatki, choć prawa do tego nikt im nie udzielił. Wszystko więc składa się tak, że z natury rzeczy muszą opierać się przy swych zamiarach. Wszystko już przygotowane... tajemnica grubą zasłoną oteoczyła działanie podkomitety, projektów przed 10 b. m. nikt widzieć nie może, choć są już pomieszczone w sali Sukiennic. Potrzeba tego, bo zach-

ustrojone są, a ona płakała i całowała matkę w ręce.

— Mamuleczko i ja pojdeł...

Ala nigdy nie miała trzewików i zostawała. Byłaby i w dziewiętnym roku nie poszła, bo Tyłoskiej zał było trzewiki kupować dla takiego oberwanca, ale ksiądz jeżeliż po kolendzie i zgorzonoży usłyszał, że Marcysia jeszcze nie była u spowiedzi. Przykazał matce surowo i zagroził nawet. Marcysia ze łzami wdzięczności całowała rękę księdza. Ona zawsze tak pragnęła iść do kościoła, mieć trzewiki nowe, może i chusteczkę na szyję! Przecież wszystkie dniowuchy mają; nawet Joasi macocha na ostatnim jarmarku kupiła, a Józwa, co jest do dziecka u Lajków, choć przecież nie „ojcowitka”, a ma i jeszcze jaką — aż się w oczach mieni: zielona, kwiatnista!

Matka nieraz tłomaczy się sąsiadkom, głasząc „tygo naroda niecierpić nie może”. Opowiada o niej okropności. Oznacza kradną „na ten przykład” matce Jaja i smarzy sobie jajecznice. Juszko w dodatku sekretu z tego nie robiła, chwaliła się przed innemi.

— Gosi wypędeć do świtu — mówiła — i o suchym kawałku chleba miałabyś być do obiadu!...

— Dałam jej też jajecznice! — opowiada matka — dałam!

Podobno już Jaja przestała ginać, a jeżeli Marcysia ociorała gębę rekawem po jajecznicy, to smarzyła ją ze zalanymi jaj.

Albo i sprawa z Saturniąką; o tem przecież całą wieś dobrze wie. Saturnińska kłóciła się, co prawda, więcej ze starą, niż z Marcysią, ale bo to siedzieli za sobą przeżenici, a Saturnińska, jako szlachcianka, nigdy podobnego słowa nie dała Tyłoskiej. Jeśli w jednej izbie rozległo się „parszywy chanie”, to z drugiej echo przyniosło: „szaszargana szlachciorko!”

Co jednak miały stare między sobą, to miały, a dzieciom zasz. Aż tu kiedyś Marcysia wypała kawałeczek owsa Saturninowi; zaskłania się, że na miedzy, ale Saturnińska kłęła i siebie i Marcysię, że to był cały żaglon. Oóś dziwnego, że zaraz na miejscu ohoiada dziwuchę ukarać; z tem większą ochotą brała się zaś do tego, że była to dziwuchka Tyłoskiej. Ale koby tam dał radę ogrygnąć w polu Uderzyła Saturniniec kamieniem i sama w nogi. Świadków przy oalem tom wydarzeniu nie było, ale Saturniniec uwiarza na słowo. Zaskarżyła dziwuchę do sądu. W oznaczonym dniu Tyłoskiej akurat wypadł interes do miasta; Marcysię musiał soltys łapać na pastwisku.

— Byłabym uciekła — zaręczała potem — ale przewalałam się w opłotkach i ujeni mie.

Na jednym wozie z Saturniąką przyszło do pozornej zgody. Szlachcianka głaśniała dziwuchę, zaręczała jej, że pojdzie prosto do piekła, jeżeli prawdy w sądzie nie powie. W karczmie kupiła jej buklicę i szlachcianka zjadła i obiecywała wszystko. Wobec wója i ławników zawzięła się tak, że ani ust otworzyć.

To już tała natura u niej. Któręmus z ławników przypadł szczęśliwy pomysł zaprowadzić dziwuchę do księdza; tam wszystko wypisła.

Zastali proboszcza przy miodzie w ogródku. Po wysłuchaniu całego zajścia, ksiądz zaczął badanie.

— Umiesz przeczekać się? pacierz mówisz? bliźniego swego kochasz?

— Ja nie wiem, co to bliźni.

Ksiądz dał dziwuchynie kawał miodu.

Aż tu dziwuchyna w płacz.

— Nie pojdeć prosto do piekła! — woła.

Palnęła kamieniem Saturnińkę, ale jej owas nie wypała.

W gminie duzo było śmiechu z całej tej sprawy; wójt nie kazał nawet pomieszczać jej w akta. Saturnińska nie wygrała nic, a złość do Tyłoskiej spotęgowała się.

Wszystkiemu winna cyganka. Oóś dziwnego, że brała w skórę od matki!

— To już od malenka taka sielomska natura — skarży się stara; — jeszcze w opo-

dzi obawa słuszną, by przed posiedzeniem nie odewały się w dziennikach głosy potępiające całą robotę. Z drugiej zaś strony, rozpoczęło się już wstawianie w ludzi, że nie przysięgają, jak ten obłąkany poeta itp. Jedną tylko okoliczność obiecywało pokrzyżowanie zamiarów komitetu: pomnik obliczony jest na 180,000 złr. Dużo więc jeszcze groźba potrzeba, skoro się ma około 100,000, a nadto wisi długi zapłaty obu wykonawców myśli Mickiewickiej. Nie przyda się wobec tego na nie tak płatna nie-ras znachwał. Pogarda dla ulicy, dla piśmidół, bo panowie sami nie sięgają do kasy tak łatwo, jak do głowy po natchnieniu. Ciężar sprawy spocznie na prasie, która jedna dość ma wpływu, by powołać ogół do uzupełnienia funduszu, a żaden dziennik uczywił w pewnością, nie będzie miał sumienia do takiego wyszoku w imię rzekomo dobrej, a w istocie prywatnej sprawy. Oto jest krótki zarys przyszłego toku nowej "kadencji Mickiewickowskiej". Zwykły rozsądek ludzki dwie tylko widział może alternatywy: albo pomnik Matejki przepadać, albo przejść — sznase opisałem powyżej — ale nas wielcy mają swoją odrębną logikę i odrębne sumienia, a drogi ich dźwiże są i niezabędne\*). Tam — w obłoki galejskiego Olimpa autonomicznych bogów oć zwycięzanie nie sięgnie — ktoś wie, co tam gotują!...

Dwuletnie milczenie, jakie po upadku *Przeglądu* i wrogiego jej *Przeglądu akademickiego* zapanowało na polu prądniczych w dawnych krakowskich młodzieży, zostało przerwane. Dnia 5 b. m. pojawiła się dwurazowa broszurka w czerwonej okładce. Jest to pierwszy numer pisma p. t. *Ziarno*, "dwutygodnika naukowego i literackiego, wydawanego przez młodzież akademicką". Podjęła go garstka młodszych akademików, ożywna pocziw i szlachetną otuchą, iż zdola rozbić do ruchliwego życia umysłowego uniwersyteckie koła, że odświeży atmosferę gnusną i ażeścieńską. *Ziarno* jest jednak smutnym dowodem, jak daleko zaszła roś wsteczny i rozkład kierunków, które niedawno jeszcze ostro istniały rysowały się wśród mozaiki atронistów krakowskich. Redakcją nie była w stanie podnieść hasła konkretniejszych, więcej mówiących, niż komunalny, oświadcze-

budzenia wśród młodzieży zainteresowania się ruchem umysłowym współczesnym i wzięcia w niej udziału do pracy ciągłej, poważnej i spokojnej. Ale winić o to redakcję niepodobna, bo sama hasła nie stworzyła, a obecne życie zbiorowe młodzieży nie jest w stanie dostarczyć jej jasniejszego programu, ani wskazać dróg wyraźnych. To też *Ziarno* musi brakować twardego gruntu pod nogami, muszą w nim być zasadnicze sprzeczności pomiędzy poszczególnymi utworami, całość musi robić wrażenie pracy na oślep podjętej. Czuć przecież pewne ciepło serdeczne, które potrzebuje niewidomości, by mogło stać się przytocznym. Zmiany i powołania w tym kierunku, a obok tego stanowczości życzyć należy młodemu piśmu, jeśli pragnie istotnie działać na ogół; kto chce budzić ze snu gromadę, ten powinien głośno wołać; kto chce prowadzić, ten sam musi znać drogę dobrze i wiedzieć o jej kresach.

Na zakończenie przytoczam dosłownie ustęp z *Życia*: "Bankiet, wydany przez dawny Rezsurs krakowski na cześć Rogozińskiego, wypadł nadspodziewanie świetnie. Pierwszy toast wznosił według zwyczajów prezes klubu hr. Feliks Mycielski, następnie zabrał głos hr. Oleśkowski i w dłuższym przemówieniu wykazując wartość zadania i ekonomiczne korzyści, jakie się w środkowej Afryce dla ludów cywilizowanych otwierają, zakończył życzeniem, ażeby się mogło zawiązać w Krakowie Towarzystwo geograficzne polskie, któreby — na wzór towarzystw zagranicznych — popierało w tym celu podjęte usiłowania. Po wznieszeniu odpowiedzi p. Rogozińskiego, umieszczeni słuchacze postanowili przystąpić do rzeczy; myśl poparta przez pp. Straszewskiego i Szajnochę znalazła powszechny poklask i wnet pospyła się składki: hr. Antoni Wodzicki imieniem komitetu klubu oświadczył, że tenże składa pierwszy na założenie Towarzystwa geograficznego 500 złr. Pozem lista składek pojedynczych członków, w otwartą z inicjatywy p. Czesława Kiełkowskiego, przyniosła w przeciągu pół godziny sumę 1410 złr. Dalej przeprowadzenie całej sprawy poruczone pp. Rogozińskiemu, Szajnochę i Oleśkowskiemu, a jako najodpowiedniejszego prezesa wymieniano powszechnie hr. Karola Lanckorońskiego."

To jest prawda!...

W. P.

## BADANIA NAUKOWE.

### O KAPITAŁE.

#### III.

Rozpatrzywszy w części pierwszej i drugiej tomu drugiego rozmaite formy, jakie przybiera kapitał jednostkowy w peryodycznym swoim obiegu, Marx w części trzeciej przechodzi do cyrkulacji ogólnego kapitału społecznego. Każdy kapitał jednostkowy bowiem tworzy usamoistnienie (*verselbstständigt*), rzec można, obdarzony życiem osobnym odłam ogólnego, społecznego, podobnie jak każdy kapitalista jest jedną z części składowych całej klasy kapitalistów. Ruch kapitału społecznego składa się z ogółu ruchów odłamów jego usamoistnionych, z obrotu kapitałów jednostkowych. Jak przeobrażenie (*metamorfosa*) towaru pojedynczego stanowi o-gniwo w ogólnym łańcuchu przeobrażeń świata towarowego, cyrkulacji towarów, tak samo przeobrażenie kapitału jednostkowego, jego obrót, jest ogniwem w obiegu kapitału społecznego. Proces ten ogólny obejmuje zarówno spoczynek wytwórcze (wytwórczość bezpośrednią) wraz z przeistoczeniami form, przy pomocy których się odbywa, jak i spoczynek jednostkowy i jego przeobrażenia czyli wymianę. Spoczynek zawiera z jednej strony przemianę kapitału zmiennego (*variabla Kapital*) na siłę roboczą, a zatem wcielenie pracy w wytwórczość kapitalistyczną. Robotnik występuje tu w charakterze sprzedawcy swojego towaru, pracy, a kapitalista, jako jej nabywca. Z drugiej zaś strony w sprzedaży towarów mieści się ich nabywanie przez klasę robotniczą, czyli jednostkowe spoczynek tej ostatniej. Tu tedy klasa ta działa w charakterze nabywcy, a kapitaliści są sprzedawcami towarów na potrzeby robotników. W cyrkulacji kapitału towarowego zamyka się cyrkulacja nadwartości, a więc kupna i sprzedaży, za pośrednictwem których kapitaliści nakładają jednostkowe swe spoczynek, czyli spoczynek nadwartości.

Dogmat Adama Smitha, że cena czyli wartość zamienia (*exchangeable value*) każdego towaru, a więc i wszystkich, z jakich powstaje roczny produkt społecz-

\*) Komitet zebrał się i rozstrząsł kwasy, odroczywszy swój wyrok na 3 miesiące, Red.

winieciu to się tak darła dzień i noc, że nieraz mówiłam: bodajże lepiej przepadł! Ale nie bój się, złego najdlużej.

Marcyśna słucha wyreczania matki, lecz długo się nad tem nie zastanawia; matka z wywołaniem "właśnie! a na nią i gada było gadać. Nie skarży się też nigdy, choć później za jej zarobne pieniądze dostają siostry sukienki i szuby. Nie wymawia, że młodsze od niej mają swoje łaski, ona dzieli jedno z trojgiem najmłodszych.

Wygląda tak, jakby mimo chłodu, głodu, niewygody była ze wszystkich rąk. To zadolowanie z losu trwało mniej więcej do ośmnastu lat. Wtedy w dziewczynę zaszła dziwna zmiana. Sposepniała, zwolniła, straciła dawną fantazję i śmiałość. Widać zaczęły się budzić wątpliwości o to jej eżegzję i jakoby żal do rodziców za niekorzystnia dla niej niesprawiedliwość. Pracowała myśla, żeby dostać, czego ją bito, dlaczego obdarła.

Już i ojciec przyszywał się zwał wszystko na Marcyśnę.

— Panny starsze pójdą na wesele, ty Marcyśna w domu.

— Panny młodsze niech się szykują na odpust, Marcyśka dopilnuje chałupy.

— Odpuszczają ośrochny — mówi matka do wracających z roboty — Marcyśna wy-dój krowy i drzewa nanos.

— Za co, dlaczego? — powtarza sobie dziewczyna i poplakuje.

Płta głośno. Kiedyś zażądała zwrotu za robocze pieniądze.

— Nie mam co na schaby woźny, a mamulka siostrzom za moją sprawia.

Oj, było też pięknie przez cały wieczór u Tylenkińskich Saturnika aż się za boki brzd; latala po wsi i rozpowiadała sąsiadkom:

— Biją Marcyne, biją.

Ołtąd nie upomina się już o nie Marcyśna. W niedzielę można ją widzieć w ogródku, albo „poł śniadą“ jak samotnie siedzi, wpatrzona w jeden punkt. Myśli i myśli. To się gniewa, to się rozżali, znać to po twarzy. Po takich rozmyślniach powtarza sobie:

— Pójdę w służbę, dłużej nie cierpię! Ale gdzie tam Marcyśno myśleć o służbie! Tylenkiśni słuchać nie chce.

— To ja cię szelmo tyle lat darmo żyw-lem, żebyś mi teraz w służbę szła!

Siedzi więc w domu, ale zawsze sobie myśli:

— Nidkiego tegeł

A we dworze Marcyśna pani aż się śni.

— Mój Jakubusiu — mówi do ekonomy — żebyś ja tę Tylenkęzanę mogła dostać.

Jakubos? Zgłasza dwór, probuje. Marcyśno zachwalać nie potrzeba; wszyscy wiedzą, że pracowała.

— Żaden latawiec — przysiędza ekonom.

A stara od czasu do czasu powtarza Marcyśnie:

— Dam ja tobie służbę, już cię skóra świerbi!

Nie dziwnego, Marcyśna teraz potrzebniają w chałupie; starsze dziewczyny po-wychodziły za mąż. Zoska zasłubiła wdowa. Oj jakaż Marcyśna miała ochotę na tego wdowa!

Mówiła sobie:

— Choć raz wydstać się z domu! Dopierożbym dobra była i dla niego i dla dzieci!

Ale wdowiec wolat Zoskę. Chwalili mu we wsi Marcyśię, że choć brzydka, ale pracowita. On możeby się i zgodził, żeby tylko stary choć krowę dał, ale stary i Zosko nie nie daje.

— Czy ona ma kogo za co, ani ojca, ani matki.

Wdowiec więc wziął Zoskę, Marcyśna została.

Podorastały teraz młodsze siostry. W położeniu Marcyśni nie się zmieniło.

Panny młodsze chodzą teraz na grania, wesela; starsza zostaje w domu. Robiła dawniej za starsze, dziś robi za młodsze.

— Jak powychodzą z domu — myśli sobie — może choć lósko sobie sprawię!



stwa, składa się z trzech części (component parts), czyli rozpada się (resolves itself into) na: płacę robotniczą, zysk i rentę — zdaniem Marxa — spowodować można do tego, że wartość towaru równa się wartości wyłożonego kapitału zamiennego z dodatkami nadwartości. Zapatrywanie to mieni on jednostonnem, podobnie jak i drugie, wypowiedziane przez Smitha, jakoby płaca, zysk i renta gruntuwa miały stanowić trzy pierwotne źródła wszelkiego dochodu i wszelkiej wartości zamiennej. Pogląd ten swój szczegółowo i gruntownie naszedł, wykazując zarazem, iż i późniejsi ekonomiści, jak: Ricardo, Say, Froudhon, Storch, Simond, Berton, Cherbuliez, a nawet John Stuart Mill, nie mogli ustrzedz się od popadnięcia w tę samą jednostorność.

Produkt ogólny, a więc i produkcyja ogólna, dzieli się, podług Marxa, na dwie wielkie grupy: 1) na środki produkcyjne, to jest towary posiadające postać, za pomocą której w spożyciu wytwórcze wcielić się muszą lub mogą — i 2) na środki konsumpcyjne takiej postaci, przez którą wchodzi w spożycie jednostkowe klasy kapitalistów i robotników. W każdej z tych grup wszystkie należące do niej a różnorodne gałęzie wytwórczości razem wzięte tworzą wspólną wielką, jednę — środków produkcyjnych, drugie — środków konsumpcyjnych. Kapitał cały użyty w obu z nich stanowi osobną wielką dział kapitału społecznego.

W każdej z grup kapitał rozpada się na dwie części składowe, na: 1) kapitał zmienny, który ze względu na wartość, równa się wartości pracy społecznej zastosowanej do danej gałęzi wytwórczości, a więc sumie wyłożonych na tę pracę płac najemniczych. Ze względu na istotę swoją, kapitał ten składa się z przechodzącej w czyn pracy samej, to jest z poruszającej przez tę wartość kapitałną żywej pracy — i 2) na kapitał stały, to jest na wartość wszystkich środków wytwórczych do produkcyj w danej gałęzi użytych. Te znów ze swojej strony dzielą się na kapitał *unseruchomiony*: maszyny, narzędzia, budowlę, bydło robotnicze itp., oraz na kapitał stały *obiegowy*: materiały wytwórcze, jak produkty surowe i pomocnicze, pół-fabrykaty itp.

Dla zrealizowania wartości kapitalistycznej zmuszeni są pójść w obieg swoje pieniądze. Dzieje się to w praktyce, zdaniem Marxa, dwójako. Jeżeli przemysłski świeżo został rozpoczęty, trwa dosyć długo,

w najlepszym razie kilka miesięcy, zanim kapitalista z samych dochodów jest w stanie wydawać na osobiste potrzeby swoje. Spożycie to wszakże nie kosztuje przez to zawieszonym ani na jedną chwilę. Kapitalista w takich razach forsuje sam sobie pieniądze (obojetnem tu jest, czy z własnej kieszeni, czy drogą kredytu z cudzej) na mającą się dopiero zagarnąć nadwartość. Jeżeli przemysł natomiast od dłuższego już czasu jest w prawidłowym biegu, wtedy wypłaty i dochody rozdzielają się na rozmaite okresy w ciągu roku. Jedno przeciwieństwo nieprzerwanie trwa dalej, mianowicie spożycie ze strony kapitalisty, które z góry zawsze zostaje wybranem i którego wielkość oblicza się w pewnym stosunku do dochodów zwykłych lub przewidywanych. Wraz z każdą partją towarów sprzedanych realizuje się część mająca być osiągniętej w ciągu roku nadwartości. Gdyby zaś przez cały rok sprzedano tylko z wyprodukowanych towarów tyle, ile potrzeba na pokrycie mieszczących się w nich wartości (stałych i zmiennych), albo, gdyby ceny spadły tak nisko, że ze sprzedaży całorocznego produktu towarowego osiągnięto by jedynie zawarty w nim kapitał zaforszowany — wtedy charakter zaliczkowy pieniędzy wydanych w widokach przyszłej nadwartości byłby zupełnie jasny. Jeżeli kapitalista zbankrutuje, wierzyciele jego i sąd rostrąsają, czy z góry wiezione wydatki jego prywatne w należytnym stosunku do zakresu jego przedsiębiorstwa i do odpowiadających mu zawyżacz lub normalnie dochodów z nadwartości.

Twierdzenie o do sposobu realizowania nadwartości, jak dodaje Marx, nietylko nie jest paradoksem, lecz występuje jako warunek niezbędny całego mechanizmu. Są tu bowiem tylko dwie klasy: robotnicy, którzy rozporządzają swoją siłą do pracy, i kapitaliści, którzy posiadają monopol środków wytwórczości społecznej jako i pieniądze. Paradoks byłby wtedy, gdyby klasa robotnicza z własnych funduszy forsuowała pieniądze konieczne dla zrealizowania tkwiącej w towarach nadwartości. Forsus ten dokonywa pojedynczy kapitalista, zawsze jednak w tej postaci tylko, że działa jako nabywca, wydając pieniądze na zakup środków spożywczych, lub forsuje je na zakup pierwiastków swego kapitału wytwórczego, już to siłą do pracy, już też środków wytwórczych. Nie wydaje on nigdy pieniędzy bez równowa-

żnika. Zalicza jedynie pieniądze dla cyrkulacji w ten sam sposób, w jaki jej zalicza towary. W obu razach stanowi punkt wyjścia dla cyrkulacji.

Zjawisko gromadzenia wartości dla rozpoczęcia nowej wytwórczości stanowi przedmiot ostatniego rozdziału tomu drugiego. „Przez spieniężenie kapitału towarowego — powiada Marx — jednocześnie spieniężnia się i nadprodukt, pod którego postacią przejawia się nadwartość. Nadwartość tę, w ten sposób na pieniądź zamienioną, kapitalista przeistacza znów na dodatkowe (zusätzliche) pierwiastki naturalne swojego kapitału produkcyjnego. W najbliższym zaś okresie wytwórczym powiększony kapitał — powiększony daje produkt.“ Potrzeba tu tylko dwu warunków, a mianowicie: 1) aby ogólna suma zaoszczędzonej nadwartości w danym położeniu wystarczająca była bądź do rozszerzenia funkcjonującego kapitału stałego, bądź do założenia nowego przedsiębiorstwa przemysłowego; 2) aby poprzednio już wytwórczość odbywała się na większą skalę, gdyż do możliwości zamiany pieniędzy (nadwartości pod postacią tych ostatnich nagromadzonej) na pierwiastki kapitału produkcyjnego, potrzeba, aby pierwiastki to, jako towary, można było kupować na rynku. W tym względzie wszelkie różnice nie stanowią to, że nie są kupowane wprost jako gotowe towary, lecz wykonane na obalunek. Zapłacone bowiem zostają wtedy dopiero, kiedy już są, a w każdym razie, kiedy już z uwagi na nie rzeczywista odbyła się reprodukcyja na większą skalę, rozszerzenie wytwórczości normalnej. Musiał więc istnieć potencjonalnie, t. j. mieć być w ośrodkach swych składowych, skoro tylko potrzeba było pobudzić obalunek, t. j. zakupna towarów poprzedzającego ich istnienie i uprzedniej ich sprzedaży, aby wytwórczenie ich faktycznie nastąpiło. Pieniądź z jednej wywołują wtedy rozszerzoną reprodukcję z drugiej strony, ponieważ możliwość takiej reprodukcji istnieje bez pieniędzy, dlatego, że pieniądze sam przez się nie jest czynnikiem reprodukcji rzeczywistej. „Nadprodukt, wyobraźni nadwartości — wyjaśnia dalej Marx — przywłaszczycieli jego, kapitalistów, nie kosztuje nic. Aby go otrzymać, nie potrzebują pod jaką bądź formą forsuować ani pieniędzy, ani towarów. Wykładają tylko kapitał swój stały i zmienny. Robotnik pracą swoją nie tylko zachowuje im kapitał stały, nietylko

Gdzie tam, trzeba było przecież wesoło każdej wyprawie, a posiedzi dał. Posłał pieniądze Marcyś!

Dziewczyna za swoją biedę oszuję do sióstr jakąż nienawiść, żal.

I przyjaciółki nie ma, jak inne; nie była na zabawach, przy robotcie milczy, w niedzielę nie idzie z innymi śpiewać do lasu; siedzi sama w chałupie, albo w ogródku rozmyśla nad swoją dolą.

— Licho moje życie — mówi — własna matka mną poniewiera, nie wiada za co. I wdowice mnie nie chciał, choćbym go lepiej szanowała niż Zoska.

Ona i dais tak jego dzieci lubi, nawet i Zosęczkę.

Czyje żal co najmniej do połowy świata. Przypomina sobie, że i dzieciom lata nie były takie wesołe; przypomina sobie jak ją dzieciaki były, wyłączały od zabaw.

— Tyle tylko, że mam być silniejszą od nich, to mi się nie dawała.

Niektóre wspomnienia wywołują czasem uśmiech na usta Marcyś.

Przypomina sobie naprzykład Wika i jego serki. Takich serków nikt nie miał z kartofla wycisnąć. Dzieciaki otaczały go kołem, a każde wolało:

— Wicna dla mnie, Wicna bracišku, dla mnie, już ci do wieczora świnie pasć będę!

A Wiolek z powagą w pole skamkani zginała upieczony kartofel. Gromadka składa ręce:

— Panie Boże daj, żeby mu się nie zepsuło! I nigdy mu się nie zepsało. Z trymfem podaje kotoremu z proszących serok na dłoń, a Marcyśa zawsze przyraził się ciuchko i biał pieściw w łokcie Wika; serok spada na niepełnie skruszony. Potem zaczyniają się gonitwy: Marcyśa ucieka dobrze, ale siła złego na jednego. Dogonią ją i wygromocą. Ale z serkami powtarza się ta sama historia codziennie. Nieraz ją proszą: — Marcyśa siedź, to i tobie damy.

Marcyśa obiecuje, ale jak zobaczy serok na dłoń Wika, nie może się wstrzymać i traci.

Przypomina sobie, jak na te serki kradli kartofle Krzykosiemu, gospodarzowi sąsiedniej wsi; mieli bliżej dworskie, ale Wiolek nie chciał z nich serków wytłuszczać, bo najlepsze — według niego — były krzykoskie kartofle. Kopali więc te.

Oj pamięta to dobrze, bo dostała za to „podbieranie“, dostała od samego gospodarza Zszedł i wymościł.

— Zawase mnie bieda była — powtarza raz setny. Gorsza bieda, jak się w domu na człowieka „własnają“. Praszaj tylko i pracuj i słowa dobrego nie usłyszysz.

I Marcyśa coraz uparciej wracała do tej myśli, żeby raz z domu.

— Chłobym miała uciec, tucieknie, pój-

dę w służbę i raz się stanie. Co zapracuję, to będzie moje.

I pewnego poranku w obaciu Tyłenskich zawrzało „piekło“. Nie było Marcyś — uciekła; zabrała swoje „graty“ i poszła do dworu. Starej knikiegnie córki w głowie nie może się pomieścić, Ozeka dzień, drugi, a wciąż powtarza:

— Tylko ty wróciś, przywitam ją cie szolmo!

Ale mija tydzień i drugi, Marcyśa jednak nie wraca. Matka płacze ze złości i odgrza się:

— Sołtysiem się sprowadzę!

Sołtys jednak sprowadzenie odradził.

— Nie macie prawa, dziewczka już dawno pełnoletnia, może iść w służbę, kiedy chce.

Marcyśa więc została we dworze.

— Ciężka praca — mówi — bo ciężka, ale może przynajmniej nie katują, jak matka, nie zwymyslają za byle co, albo zgola za nic.

Po roku, dwóch na „sobachach“ Marcyś zaściwił stroje. Dziewczka kupowała i kupowała. Kriaciaste, kwaciaste spodnie zmieniały się jedna po drugiej. W kościele siostry patrzyły na to z zawiścią.

— Patrzka, jak Marcyńcio służba sprasuje! A Marcyśa rudo wana kupuje, stroi się i myśli:

— Teraz toby mnie wdowice wziął.

Ale wdowice ma już dawno Zoskę i kilkoro dzieci.

opłaca im zmienny przez nowo wytworzoną pod pastacją towaru część wartości, lecz nadto skutkiem przewyższy pracy swojej (Mehrabert) dostarcza im nadwartości w kształcie nadproduktu. Przez kolejne sprzedawanie tego ostatniego kapitałowi gromadzą sobie zapasy, wytwarzają dodatkowy (potenencyonalny) kapitał pieniężny."

Przebiegliśmy tym sposobem wszystkie ważniejsze punkty, nad którymi w tomie drugim zastanawiał się Marx, i nie pozostaje nam nic innego, jak gorąco zachęcić czytelnika do bezpośredniego zapoznania się z dziełem samem. O jednym go tylko uprzedzić musimy. Droga do poznania tego dzieła najłatwiej jest trudnosciami. Styl Marxa bowiem (jak to samo nasze sprawozdanie uwidatnia) wcale do pojętych nie należy. Jako twórca heglista dąży on wciąż do sprowadzenia ogromnych zasobów materiału swojego do fałszywych jednojędnych, jednego pojęcia zasadniczego i przez to w rozumowaniach staje się często nieznośny rozwlekłym i ciężkim. Obok tego ulubionym jego środkiem dowodzenia jest matematyka, tak, że nie ma prawie stronicy, z której nie straszłyby czytelnika całe szeregi wzorów i równań algebraicznych. Kto jednak pokona wszystkie to przeszkody, ożyło zewnętrzne zresztą, ten z prawdziwym zadowoleniem śledzić będzie, z jaką wielką logiką i konsekwencją autor *Kapitału* przeprowadza założenia swoje i z jak niepospolitem przygotowaniem, tak jak pod względem teoretycznym, jako i praktycznym, przystąpił do dzieła, ten pojmie, dlaczego Marx wśród ekonomistów tak w wybitnie zajął stanowisko, czyli — jak mówi Engels, zapożyczając przykład z dzieł chemii: "dlaczego Marx ma się do wszystkich poprzedników swoich w takim stosunku, jak Lavoisier, odkrywca tlenu, do Priestleya i Scheelego, twórców teorii flogistycznej."

Ad. J. Cohn.

## STATYSTYKA LITERATURY.

Naród zapostrzaje się tak samo w dobra duchowe, jak w materialne. Mamy tu i tam produkty oraz konsumpcję. Dobra duchowe przechodzą bezpośrednio z jednej

osoby na drugą (zupelnie jak np. usługi), albo ktoś trzeci pośredniczy. Bezpośredni stosunki między umysłową produkcją a konsumpcją zajmują się statystyka szkolnictwa, pośrednimi zaś statystyka literatury, obejmująca zjawiska prasy i książek. Wobec tej młodej umiejętności, zadajemy sobie przedewszystkiem pytanie: jaki związek zachodzi między dotychczasową historią literatury, a nową statystyką literatur? Historię literatury zajmowała się dawniej beletrystyka, później uzupełniona już naukami. W najszerszym jednak pojęciu jest ona tylko *indywidualnem* przedstawieniem duchowej produkcji, głównie wybitniejszych osobistości lub szkół, o najwięcej szczegółowych kierunków i prądów. Brak jej objęcia literackiej produkcji wogóle, brak poznania całego charakteru narodu i wpływu na masę.

W tym więc kierunku uzupełnienia podmiotową historię literatury społeczną jej statystyka. Ze względu na to rozszerzenie pojęcia literatury zajmie ona, prawdopodobnie, należne miejsce w podręcznikach do literatury, jak już zajęła w historii powszechnej. Spotyka ją tylko jeden zasadniczy zarzut. Konserwatywni jej przeciwnicy powiadają, że siły statystyki, działającej suchymi liczbami, nie wystarczają do oznaczenia zjawisk natury duchowej. Widocznie nie rozumieją oni zadania tej nauki. Statystyka literatury nie troszczy się o wartość poszczególnego utworu, owały albo zalety autorów; cele jej ogólniejsze. Oto z ilości utworów literackich wyprowadza ona wnioski o stopniu umysłowego rozwoju społeczeństwa; z zastróżkowania produkcji umysłowej w stolicy, albo z rozgałęzienia jej na prowincję — o odgraniczeniu klasowych ludności, albo o wniesieniu oświaty w masę; z rodzaju i treści pism ocenia umysłowość narodu, wreszcie z liczby tłómaczeń dzieł obcych wnioskują o młodzieńszych siłach literatury i jej konieczności oparcia się na silniejszej, lub odwrotnie, z liczby przekładów na obce języki — o wysokości i wpływie danej literatury na inną. Słowem, dowiadujemy się z niej o wzajemnej wymianie tak myśli, jak uczuć narodów i o wspólnem uczestnictwie rodzaju ludzkiego w najwyższych dobrach umysłowych.

Tak więc i w tej dziedzinie, pozornie najbardziej indywidualnej, miejsce dowolności znużone niczem niezachwiana *prawdowością*. Doniosłość statystyki literackiej

nie polega tylko na dopełnieniu historii literatury, czyjś jej rzuceniu jasniejsze światło na etnologię i psychologię narodów, mają nawet praktyczne znaczenie w życiu (np. przy zakładaniu i wyposazaniu bibliotek). Mimo to jej uprawa znajduje się na bardzo niskim jeszcze stopniu. Rzecz dawna, jak mało dbają ludzie o administrację dóbr duchowych, w porównaniu z materialnymi! Biera statystyczne ciekawość są dowiedzieć się, ile spożywa wspaniałych, wołów lub cieląt, ile książek...

Metoda statystyki literackiej nie różni się w niczem od metody statystycznej wogóle; stara się ona przedewszystkiem oznaczyć *ilość* dzieł, arkuszy i formatu, tomów, zeszytów itp. Gruppuje potem wytwory podług treści, uwzględniając nie tylko schematy logiczne czyli filozoficzne, ale stosując się także do podziału ludności na klasy i do powszechnie panujących kierunków. Trudniejszem jest oznaczenie *jakości*. Nie idzie tu naturalnie o ocenę pojedynczego dzieła, ale o oznaczenie rodzaju produkcji umysłowej wogóle, albo porównawczo. Do tego celu służy także podanie oeny książek. Dotychczas braliśmy pod uwagę tylko produkty samą. Rozpatrując wytwórców, rozróżniamy autorów i redaktorów, pisiemek i korektorki, pisarzy samodzielnich lub dzieła drukowane zbiorowemi siłami, wydawane przez rząd albo bezimiennie.

Najtrudniejszem jest oznaczenie konsumpcji umysłowej. Pewnych punktów wytycznych dostarcza nakładnictwo. Stosownie do tego, czy nakład skupiony jest w kilku miejscach lub w kilku rękach, czy też rozłożony i rozszerzony na społeczeństwo, dalej stosownie do tego, czy rozdzielony na wydawnictwa specjalne, czy też ma charakter ogólny, przedstawia się konsumpcja ograniczoną bądź miejscem, bądź też pewną warstwą ludności, ogólnie albo w pewnym kierunku rozwiniętą. Pojawienie się licznych artykułów komisyjnych, albo nawet licznějších druków kosztem autorów samych, jest oznaką silnego odbytu pewnej gałęzi, a czasem niskiego stanu literatury w ogólności.

Liczne nakłady, wydania lub roczniki zdradzają żywe zajęcie się pewnem polem. Z tłómaczeń na obce języki i z tych na krajowy wnosimy o stanie literatury krajowej i oboj.

Statystyka literacka uwzględnia narody i prowincje, nie państwa; ale wielce po-

Chłopaki chwalił Marcysię:

Pracowita, bo i prawda, alepotwornie dziejących i stare.

We żniwa ciśnie się tylko do jej zagona, bo znie za dwoje, przoduje zawsze. O ożenieniu żuđen nie myśli.

Na wios Marcyśa nie chodzi, nawet do starych — boi się.

— Jeszczeż mnie w komorze zaparli i nie puścili.

Odwiędzają ją tylko siostrzanki, Zośczynne dziewczuch. Pokochaly ciotkę, całują w obie ręce. Zawsze im się coś u niej podobą; to korale, to chusteczka. Marcysia daje. Taka rada, że ją odwiędzają.

Wyczekują niedzieli z upragnieniem. Oczasem zostawia dzieciom pieróg ze śniadania, kawalek mięsa z obiadu. Dziewuchy całują ręce i pochlebają.

Opowiadają jej, co tylko na wsi zobaczą, usłyszą. W alkierzu zasiadają razem i gawędzą. Oczasem ciotka kładzie w skrzynkę. Radość nieopisana, bo całe wieko skrzynki wylepione obrazkami, kolorowym papierem. A w skrzynce śliczności. Od czasu do czasu dziewczuch wydają okrzyki zachwytu. W przysłowku tyle różności! Guzik! świećcie, szpilki z łebkami. Mamulka dała za jednę tak! smaczniarzewi wszystkie ich stare chodaki. Marcysię cieszy radość dziewczuch. Cieszy się jeszcze więcej, kiedy obdarowane całują jej ręce.

Do takiej ciotki zaszła kiedyś i sama Zośka. Przysały i inne siostry, siostrzanki. Ale Marcyna najlepiej rada Zośczynym dzieciom.

Ze skrzynki zaszynają zaś znikąd po kolei chusteczki, krawaty; znikła nawet ulubiona Marcysię spódnica, ta czerwona w białe kwiatki.

Służące ruszają ramionami.

— Ty, głupia, zapomniałaś im wszystkiego. Za co ono cię miały? Za ten proch pod nogą!

Marcysia pamięta, gdzieśby miała zapomnieć! Ale jej tak miło dawać "podarzą", raduje się, że ją teraz uważają, nadskakują jej.

Kiedyś spotkała się z matką. Matka złodziejka, wynawiała, dlatego do domu nie natrza.

— Toćś dziecko przecie.

Marcysia nie pójdzie, nie piasz nie pozwala, bo kurników pilnują, ale cieszy się, że dla niej teraz wszyscy inni, jak byli. Byłaby nawet mamie pożyczyla pięć rubli, ale już i tak nadebrała. Chodziła do pana prosić, ale te samą odpowiedź nalażyła:

— Wzięłaś już napród kilka rubli.

Prawda, że wzięła. Kupiłażurki Zośczynym dziewczuchom.

A na wsi siostry Marcysię kłóca się.

— Tybysż konsulę ostatnią z niej zdarta.

— A tyś gorsza zaszrodną, jak ja.

Kłóca się, a Marcysię zaskakują.

Z twarzą jej znikł smutek, przyciębnienie; śmieje się teraz rada, znikło jednak i ze "śchabów" wiele. Marcysia przyrzeka sobie, że teraz to już nie da, choćby płakali, prosili, ale pewno nie wytrzyma. Przysięda jedna, druga w niedzielę i zawsze coś pod pachą wyniesie od siostry.

— Niech ich tam — myśli sobie — już taka moja dola, żebym nie nie miała. Weźta, nacięszta się.

Kiedy jej ozygnia uwagi o na starość zrobisz, gdy im rozsadaż wszystko, kto się przysięga — zastanawia się i pęsepieje.

Co zrobi — nie wie; wie tylko, że nie powróci nigdy do starych, do żadnej z siostr nie pójdzie także.

Jużi starość nie będzie wesola. Służba, wieczna służba, aż sił zabraknie, a potem co?... Żaskawy chleb, gorzki, albo już zabraczy. Swego kąta nie ma, nie będzie miała. Gdzieś się podziej?... Oczasem umierają młodo, to i razkonnie biedzie; ale Marcysia zdrowa, nie chorowała nigdy, doczeka z pewnością tej nieupragnionej starości, przed którą strach, o której myśl napędza żyło do oozu. Będzie z nią tak, jak z kulawą Maryną; służyła, służyła, a zmarła gdzieś pod płotem swoich krewniaków.

Co będzie, to będzie!

X. X.



módz jej mość władza państwowa, głównie przez założenie w stolicy biura statystyczno-literackiego, gdzieby skupione i opisanie były wszystkie pisma krajów koronnych i prowincyj. Wszystko to nie ze względu polityczny, ale w celu poznania umysłowego bilansu, ogólnej fizjonomii narodów.

Tych kilka uwag ogólnych nasunęła mi praca C. Mischlera p. t. „Die Literatur-Statistik Österreichs“ (w *Stat. Monatssch.* wydawanego przez Stat. centr. Comia, w Wiedniu, 1886, I). Ponieważ badania autora dotyczą przeważnie ludów słowiańskich, zamieszkujących Austro-Węgry, a zatem i Polaków, przeto postanowiłem poznać imiennie z wynikami jego pracy.

Statystyka dowodzi przewagi niemieczyny w Austrii na polu umysłowym — wprost przeciwnie niż w polityce.

Niemcy austriaccy wydają więcej dzieł, niż wszystkie literatury słowiańskie razem wzięte, a konsumują (?) jeszcze więcej, gdyż znaczna ilość książek rozchodzi się w państwie niemieckiem. Pod tym ostatnim względem zajmuje podobne stanowisko literatura polska, której wydawnictwa obłożono są głównie na Królestwo i w części i Poznańskie. Co do konsumcji przypada w t. z. Austrii cisłastwyskiej:

1	dzioło na 4,000 mieszcz.	w literaturze niemieckiej
1	„ „ 6,000 „ „	„ „ „ czeskiej
1	„ „ 10,000 „ „	„ „ „ polskiej
1	„ „ 16,000 „ „	w lit. serbskiej i kroackiej.

Nawet objętością przewyższa literatura niemiecka słowiańską; bo kiedy 10 dzieł niemieckich obejmuje 26 tomów, to na 10 czeskich 14, a na polskich przypada ledwie 11 tomów.

W literaturze niemieckiej, silnie rozwiniętej, przeważa charakter naukowy i techniczny; czeska służy do polowy w celach zabawy, następnie oddana jest wychowaniu. Polska nosi wybitnie piętne religijne. Przeważa dzieł naukowych, zwłaszcza historycznych, niż praktycznych, dają się wyłomaczyć stanem politycznym narodu, zwróconego całą duszą do przeszłości. Zaniedbanie pedagogiki idzie równoległe z analfabetyzmem niższych warstw i z mozoń ograniczonością, do kastowości prawie posunięta oświata. Pod względem ceny książek zachodzi taki stosunek między dzielami niemieckimi, czeskiemi i polskimi, jak 10 : 13 : 82; pod względem ilości zaś jak 10 : 26 : 61.

Niemiecka książka kosztuje przeciętnie 1.80, polska 1.36, czeska tylko 68 <sup>1</sup>/<sub>2</sub>. Stąd wyjaśnia się ogromna popularność literatury czeskiej. Na bełetrystykę przypada stosunkowo najniższa cena. W roku 1883 wydał Niemiec przeciętnie 46 cent, na dzieła w swoim języku, Polak 14 cent, a Czech 11 cent.

W państwie niemieckiem wypada na głowę konsumery wartości 1 marki. Nie wliczono tu książek przywołanych z zagranicy (do Galicji z Królestwem), ale i z temi milionem służy za cały pokarm umysłowy: kalendary, modlitewnik, albo elementarsza. W rozpowszechnieniu wydawnictw niemieckich wykazuje statystyka literacka cofanie się wstecz, przedwzrostkiem Austrii i krajów alpejskich, a znaczny postęp w słowiańskich. Bełetrystykę także ustępują Niemcy w Austrii słowianom, mającym bezprzeczenie pociętszą naturę. Ilość poezji samych, wydanych jednego roku w Czechach, przewyższa ilość wszystkich poezji niemieckich, wychodzących w Austrii. Niemiec jest trzeźwy, praktyczny, przenoszący naukę na marzenie.

Wogóle panuje on w Austrii potęg ducha i — pieniędzy, ale nigdy uczuciu, stanowiącem główną broń ludów słowiańskich. Ta różnica między niemiecką-męską a słowiańską-niewiosłą literaturą tłumaczy, dlaczego w Czechach i w Polsce tak wiele pierwszorzędnych autorów należy do płci żeńskiej. W ścisłym związku z tem zjawiskiem zostaje wrost literatury beletrystycznej w Galicji i w Czechach. Za pomocą t. z. zbiorowych wydań szerzą zwłaszcza czesi niezwykłą ilość powieści (z 542 dzieł należy 320! do edycji zbiorowych).

Powyższe dane statystyczne pozwalają zajrzeć głębiej do samej duszy narodu. Wskazują one następujące etapy duchowego rozwoju. Pierwsze zawiązki literackie zawięzły społeczeństwo natchnieniu, ochrzczone mu mianem religii. Drugi krok poświęcony jest wychowaniu, zupełni tak, jak pierwsze wyobrażenia, przekraczające świat zmysłowy, są religijno a lata dziecięcego życia ludzkiego okresy nauki.

Po nich następują czasy młodości, czasy poezji, a po nich dopiero epoka nauki. Literatura niemiecka stoi na tej ostatniej wygnie, kiedy np. słowianie, u których pedagogia i beletrystyka stanowią prawie wyłączny pokarm umysłowy, zostają na bardzo niskim stopniu rozwoju, a na najniższym podobno słowacy węgierscy. Polska literatura zajmuje stosunkowo dość niskie stanowisko, plody jej muzy dostają się tylko na Szląsk i Rus. Na 17 <sup>1</sup>/<sub>2</sub> niemieckich dzieł komisowych a 26 <sup>1</sup>/<sub>2</sub> kroackich przypada polskich aż 37 <sup>1</sup>/<sub>2</sub>, a wspaniałem już, że wielka ilość książek komisowych, oznacza niski stan literatury. Pod tym względem przypada czesi wyżej od Niemców. Zaledwie 7 <sup>1</sup>/<sub>2</sub> dają w komis. Wogóle s nakładowych stosunków czeskich widać wysoką bezinteresowność autorów, a wielką ze strony publiczności pociętność. Z nowych książek nakładowych przypada rocznie na Niemcy 19%, na Czechy 8%, na Kroację 8%, na Galicję tylko 3%. Główny kontyngens nowych dzieł dostarczają tu książki praktyczne, podręczniki szkolne, prawnicze itp. Kalendary zajmują 92 procent.

Statystyka tłumaczy wykazuje charakterystyczne znamiona. Niemiecka literatura ma sama zaledwie 2% przekładów a dostarcza innym największą ilość oryginalną. Niemiec austriacki tłumaczy najchętniej z węgierskiego, słowiańskich dzieł unika. Na przeciwnym biegunie stoi literatura czeska: z niej nikt prawie nie tłumaczy, sama zaś ma 8% przekładów. Żywił polski jest pod tym względem dość wstrętniejszy tłumaczom tylko pierwszorzędne dzieła, albo głośnie powieści. Przekładów w r. 1883 mieli: czesi 70, Niemcy 37, kroaci 16, Polacy 14, serbowie 8.

Co do nakładów i miejsc nakładowych różni się czesi Niemcem. O cato niebo niżej stoją pod tym względem Galicyanie. Oto na 42 miejscowości nakładowych w Austrii przypada 170 nakładów. W Czechach na 40 miejscowości 117 nakładów, a w Galicji na 9 — 27. W Austrii produkuje naturalnie Wiedeń, w Czechach Praga, a w Galicji Lwów, dalej Kraków. Tylko w Czechach tętni życie na prowincji, w innych krajach austriackich skupia się ruch tylko w miastach stołecznych; świadczy to o ludowym charakterze literatury i o rozszerzonej już między ludów oświacie. Każda gmina prowincjonalna stanowi tu pełną umysłową potęgę. Na Morawach jest nawet udział prowincji w ruchu księgarskim o wiele większy, niż w stolicy. Pod tym względem na literaturę polską charakter wyłączny, więcej do niemieckiej, niż do czeskiej zbliżony. Ogniskuje się bowiem wyłącznie w dwu miastach.

August Aleksander Stekert. Słownik biograficzno-historyczny polski, tom I. Kraków, 1886, lit. A—C.

Pod godłem Salustyusza „Sława przedkosi” kryje się niesumienne fabrykat, który trzeba odsonić i nazwać po imieniu. Jest to genealogiczny herbarni rodzin polskich, obłożony więcej na próżność tych, którym schobla bliskość ze szlachetą lub magnatami sąsiadów, niż „Słownik biograficzno-historyczny”, mający na oku cele naukowe, albo praktyczne. Praca ta, zakrojona na olbrzymie rozmiary — o ile wnosić można z pierwszego tomu, obejmującego na 408 str. petitem niespełna trzy litery alfabetu — chciałaby uchodzić za źródło i samodzielną, a jest właściwie zlepiem z takich dzieł, jak: *Herbarz Niesiołowski*, *Encyklopedia Orzełbandra* itp. Sątnisty spis źródeł, na cele dzieła umieszczony, może zmniejszyć tylko niewiadomości rzeczy, my rozumujemy na są farbowanych liściach. Niesumienność autorów posuwa się do tego stopnia, że powtarzając za panią matką duby smalone, podają je za najświeższe wiadomości „z rękopisów.” Proszę tylko przeczytać notatkę o Pawle Borzeckim (I 218) gdzie wypisano figle Paska uchodzą za filozofię „rękopiśmienną.”

Na niniejszy tom sporej objętości składają się, z wyjątkiem kilkunastu imion odznaczonych w historyi, w nauce lub w sztuce, same płowy, spisy nazwisk bez żadnego znaczenia, osoby, o których np. autorowie skłonni do panegiryków, nie mogą nie powiedzieć. Przeciętnie więc pozycje tego słownika historycznego tak wyglądają:

„Bortnowski z województwa brzesko-litewskiego zostawił kilku synów i dwie córki (str. 209). „Bierzyński zmarła 1876 na rękę jednego syna i pochowana została w grobie familijnym parafii miejscowej” (str. 137). „Pan Bogdański Antoni był w 1856 do 1862 meżem właścicieli dóbr Jakubowie Wielkich” (str. 165). „Pan „Chrostowski był mostowniczym inflandzkim temi czasy” (str. 369). X. posiadał jakąś tam Wolkę. V. dzierzał w Borki, Z. spłodził półtuzinaczków, albo zostawił cztery pary synów i o to wszystko, co mogą np. autorowie powiedzieć o swoich „historycznych” bohaterach.

Osoby znane i zasługujące rzeczywiście na uwzględnienie w Słowniku historycznym są byle czem zbyte, albo nawet mylnie opisane. Informacje z dzieśniny historyi, literatury i sztuki są najnieodkładniejsze. Tak np. nie podano w zapisie o Ahornie nie tylko roku, ale nawet stulecia, w którym żył, a poświęcono mu dłuższą wzmiankę. Bełcikowski znany jest autorem tytułu jako pisarz dramatyczny, Anczyz zaś żyje jeszcze w ich imaginyacji. Wiadomości o królach polskich, np. o Bolesławach, są dziocinno, albo wiotką pleśnią porośnię. O kronice Dzierży dowiadujemy się arcywanych rzeczy, że „jest pierwszym, co dzieje Polski pożywa od początku świata *ad originem mundi*, jak się wyraża Lelawel, że miejscami powołuje się na kroniki rzymskiej i wspomina W. Kadubka, a nadto wyraża Mateusza — *supientis saluti*... Obok takich nieznych wiadomości czytasz inne, bardziej budujące: „Antoni, malarz warszawski, wspomniany w aktach miejskich starej Warszawy.” „Bernaczy o nich nasi pisarze przed Niesiołkiem nie mogli wiedzieć” (str. 35 i 106). Bądźże z tego mądrym! „A. Branicz Stanisław *bodaj* czy nie brat biskupa, podpisał *pevien* ekstrakt” (str. 239). „Bogdałowski na Rusi” (str. 164) i basta... Niektóre informacje są wprost burzące, jak np. o Chmielowskim, którego mianują docentem lit. pol. „z warunkiem, iż w ciągu lat dwóch pozyska stopień magistra filologii słowiańskiej” (str. 339). Inne czerpane z bajek w rodzaju „Tyśiąc nocy i jedna.” Oto np. Stefan Chmielicki, wojewoda kijowski, pochodzący na-

\*) Zarówno w koleji porównania, jak i w oznaczeniu różnic stosunku widłymy pomyłkę, która z powodów oddalania autoru artykułu nie możemy użyć, *Red.*

turalnie „ze szlacheckiej rodziny,” stacza-  
ją „oudnowe prawie” walki, w jednej  
z nich położył trupem 40,000 tatarów a ty-  
sięce niewiast w *plon ujętych uwalnił*.  
Nieprawdaż, dziarski to chłopak z tego pa-  
na Ohmleickiego...

Pochlebstwa i panegiryki stanowią ro-  
dzaj specjalności pp. autorów; w tem ra-  
zomiele są rzeczywiście nieprześcignięci.  
Każdy ród, to bukiet najpiękniejszych  
kwiatów osobiwając woni. Antonowicz  
np. „to rodzina w kraju zasłużona wie-  
lu wydała uczonych i znanych obywateli.”  
Baliocy, od 400 lat chwałę imienia swego  
po Węgrzech, Czoachach i Polsce roznieśli.”

Piotr Bielnieki z Wielkich i Małych Bio-  
liu, herbu Szeliga, hrabia, kawaler wielu  
orderów, *najszczęśliwszy obywatel*, o którym  
słuszenie powiedziano, że cnota wzięwszy  
go za rękę od ostatniego szczebla urzędów  
publicznych i zawiodszy go na najwyższy,  
oddawał nieśmiertelności” (str. 126). „Chle-  
bowicz Jerzy Karol, pan na ojczyźnie *szczę-  
dny*, nie zostawiający po sobie żadnego płu-  
cińskiej potomka, wszystką działalność przed-  
ków swoich z sobą razem wniósł do grobu”  
(str. 330). Pochlebstwom dla współczesnych  
nie masz końca ani miary. Ta „rodzina już  
to nabyciem zasług obywatelskich, już od-  
znaczeniem się w bojach, świetnie na kar-  
tach przeszłości naszej jest zapisana;” tam-  
ten „dom starożytny znany z zasług, imie-  
nia i bogactw, jeden z najznakomitszych  
w kraju — wysokie godności wojskowe  
i cywilne piastując, znakomite w kraju po-  
łożył zasługi;” znów inna rodzina „hrabi-  
wo pństwa rzymskiego,” to „jedna z naj-  
dawniejszych, najznakomitszych, najza-  
cniejszych” itp. itp.

Pomimo krocie tysięcy nazwisk z pod  
ciemnej gwiazdy, uwiecznionych tem wiel-  
kiem gupstwem, brak tu zupełnie prawdzi-  
wie zasłużonych imion, jak np. Asper-  
gerowie, artyści dramatycznej, prof. Altha,  
znakomitego lingwisty Boudouina de Cour-  
tenay, ruchliwego pisarza i wydawcy ludo-  
wego J. Chociszewskiego i t. p. Natomiast  
pomieszczone autorów panegiryków aka-  
demickich i herbowych właścicieli dóbr  
i dzierżawców, udekorowanych orderem,  
lub nobilitowanych... Od tego rodzaju fa-  
brykatów niemożna wymagać krytyki, ale  
należałoby przynajmniej unikać takich  
sprzeczności, jak następujące: „Wiadomo-  
ści *żadnych* nie mieliśmy — powiadają pp.  
autorowie Słownika — o poselstwie Bai-  
ckiego do Turcji” (str. 305), *a po kilku*  
wierszach dodają: „Otwiniowski opisał je-  
go poselstwo do Turcji.”

Język pp. Stekterów zaprawiony na sty-  
lu nasychn... heraldyków, mających, jak  
wiadomo, swój własny, tradycyjnie prze-  
kazany sposób pisania, tak lechoczący pod-  
niebienie naszych „nieśmiertelnych”, grze-  
szy nieraz przeciwko najprostszemu regu-  
łom gramatyki i logiki. Zamiast „szacunek”  
czytamy „szacunek” (str. 265, 276, 312,  
326); „Chr. mał ryceński w ojezynie i Wę-  
grzech” (str. 364); „Karol Emanuel pa-  
nował aż do bitwy pod Nawarą, w której ab-  
dykował na imię syna, *któremu*” itd. (por.  
str. 37 i 369); „Chrościncki był to rymopis  
poleki ze skazanej epoki to jest z końcem  
XVII wieku” (str. 368). Błędów drukar-  
skich bez liku i to tego rodzaju; „Chrz.  
dziennikarz, zmarły 1830, drukował *Gazetę*  
*szwarczewską* 1848,” albo: „Chorzewski za-  
kończył życie 1860 blił się w bitwie pod  
Raszynem 1869” (str. 361 i 372).

Henryk Biegeleisen.

## LITERATURA I SZTUKA.

### LITERATURA FRANCUSKA.

Parry, 5 luto.

Przyjęcie Ludwika Halewego do Akademii. — Uwa-  
gi Daudeta o realizmie w powieści.

Z kronikarskiego obowiązku wypada mi  
zapisać uroczyste przyjęcie do Akademii

Ludwika Halewego. Czeremonia ta nie za-  
sługiwałaby na wzmiankę, gdyby zako-  
nieny we Francji zwyczaj nie przy-  
wisywał do niej większego znaczenia, niż  
na to zasługuje. Stare jednak zwyczajy  
trzymają się mocno nader nad Sekwaną  
a dzień przyjęcia nowego członka do Aka-  
demii jest dla Paryża świętem nie lada.  
Obchodzi ono wprawdzie bliska tylko  
uczonych mandarynów z wielonemi palma-  
mi i koturę, która ich otacza — mówi się  
jednak i pisze o tem szeroko. Dzienniki  
zapelniają całe kolumny wypowiedzianymi  
przy tej sposobności mowami, zajmują się  
szczegółowo osobami głównych aktorów  
tej komedyi, rozgrywanej wobec przepie-  
nionego audytorium i dam wystrojonych.  
W salach tych zachowują się resztki  
dworskiej etykiety — J.K.W. hrabia Paryż  
jest stalem uczestnikiem tych przyjęć — pu-  
nuje w nich przekwitła retoryka, umie-  
jętność wypowiedziania panegiryków, opo-  
wiadania o rzeczach najdroższych bez  
narazania sobie kogośkolwiek, jeżeli zaś  
dopuszcza się krytykę, to w formie tak  
oekrzoną grzeczności, że można ją  
brać zarówno za negację jak i pochwałę...

Zwyczaj każe, że każdy nowostępują-  
cy „nieśmiertelny” wygłasza „pochwałę”  
swego poprzednika. Tym razem tak się  
złożyło, że dowcipny dramaturg i bele-  
trysta chwalił miał ciężko uznanego hi-  
storyka i publicystę hr. d'Haussonville.  
Aczkolwiek p. Halewy dalekim był zawsze  
od prae i działalności tej kategorii, nie  
przeszkadzało mu to przeciw przez dwie  
godziny mówić o zmarłym, zwłaszcza, że  
wydaryła się sposobność wypowiedzenia  
dodatkowej pochwały rządów Ludwika  
Filipa, wobec jego potomka i „następcy.”  
Nowy akademik nie omieszkiał podnieść  
w swem przemówieniu, że jest synem dra-  
maturga i cenionego w swoim czasie dra-  
maturga Leona Halewy i krewnym bardziej  
jeszcze znanego kompozytora *Zydulki*. Ka-  
ryera twórcy libretta do *Pielęgi Heleny* (na  
współkę z Meilhanem) i innych ofebun-  
chiad, tchnących nieokiełznaną swobodą  
i przepelnionych satyrą gryzącą, zupełnie  
nieopodparcie zakończyła się u drzewi Aka-  
demii. Autor pozostał jeszcze sobą w pra-  
cach beletrystycznych jak *Monsieur et Ma-  
dame Cardinal*, następnie jednak dokonał  
nagłego zwrotu, napisawszy powieść *L'Ab-  
bè Constantin*, która zyskała wielką popu-  
larność w pewnych kołach. Pusić ją on  
w świat wtedy, gdy ożył zmęczonego był  
już nieco brutalnymi obrazami, jakie ro-  
zaczęła przed jego oczami szkoła natural-  
istyczna. Wbrew portretom Zoli *L'abbè* Ha-  
lewego okazał się w szacie tak niewinnej  
i czystej, w odcieniu tak dobranem, że  
wyidealizowana ta sielanka nie mogła nie  
zwrócić na siebie uwagi, tembardziej, że  
i autor do niewinnych nie należał. Był ko-  
razym się przesznikiem a tacy są mile  
widziani. Nie przestawał zresztą umie-  
jętnie kołatać do drzwi przybytku, który  
jest marzeniem tylu francuzów, umiał się  
ułożyć, elegancko bić w pierś i skrusza  
ta została wynagrodzona.

Halewemu odpowiadał dawniejszy jego  
kolega z Akademii i towarzyszył po dra-  
maturgii, Paileron. Dzieli ten również pa-  
negiryk autor *Świata nudów* wypowiedziany  
był z większą swobodą, niż na starego  
w zawodzie i godności przystało — Paille-  
ron przytem, zgodnie również z przyjętym  
zwyczajem, traktował nowego kolega tro-  
chę z góry, z ojcowską pobłażliwością, po-  
zwalał sobie na dowcipne uwagi i lekko  
ironiczne wycięcia, których być nie do-  
zwolone w ustach nowicyusa.

Dajmy jednak pokój Akademii i poslu-  
chajmy szczerzych wyznań o sztuce utu-  
lantowanego powieściopisarza, który nie  
wejdzie zapewne do grona nieśmiertel-  
nych, przynajmniej niedawno sam wy-  
pisał się tego gorąco. Mówiły o Alfonsie  
Daudet. Napisał on przedmowę do wy-  
danej świeżo powieści jednego z młodych

autorów, w której składa swe artystyczne  
wyznanie wiary, różniące się mocno od  
przyjętego realizmowo-naturalistycznego  
katechizmu. Książka Edwardsa Lepelletiera,  
którą Daudet poprzedził swem poleceniem  
(co takto jest upowszechnione w Fran-  
cji zwyczajem) nosi tytuł *Les Morts heu-  
reux*.

„Książka wasza — pisze Daudet — wy-  
świeca mimowolnie jeden ważny bardzo  
punkt literackiego sporu i popiera za-  
sprawianą, które często wypowiadałem,  
podtrzymując je nawet przeciwko dwu  
mistrzom nowoczesnej powieści, Goncour-  
towi i Zoli.”

Oczywiście trzeba mówić o tem tylko  
co się widziało własnemi oczami, nie na-  
do; czy też artysta ma prawo rozszerzyć  
i pogłębić swój widnokrąg? Czy może pa-  
trzeć przed lub po za siebie, daleko bar-  
dziej, wszędzie, nie tylko własnemi oczami kró-  
tkowidza, przechodnia, lecz tym przenika-  
jącem wzrokiem, jakim Michaela patrzył  
umiał na wieki średnie, Flaubert na za-  
marłą Kartaginę, Leonardo de Lisle na cy-  
wilizację pierwotną?

Czyż wreszcie Goncourt sam, gdy wy-  
prowadzał na scenę tak dobrze poznane  
przez się postacie osiemnastego wieku  
z calem ich drobiazgowem odcieniem,  
czyż wtedy nie tworzył dzieła równie  
prawdziwego, równie „widzianego” i od-  
czutego (*véru*), jak najpiękniejsze swe  
studya współczesne? Czyż nie wnikał on  
równie głęboko we wszystkie tajniki cha-  
rakteru i życia kobiety ówczesnej, czyż  
nie zna jej równie dobrze — wielkiej da-  
my lub kurtyzanki — jak współczesne:  
*Chérie, La Fautin, Germinie Lacerteux*?  
Ponieważ wymieniał Zolę, pytam się  
więcej jeszcze, kto uwierzy, że dzięki kilku  
chwilom spędzonym w kopalnicach i sta-  
tystycznym kompilacjom — zawiśnię-  
my tak wymowne karty *Germinie*?... Nie  
chodzi o to, żeby patrzeć, lecz żeby wi-  
dzieć... Największą wreszcie zaletą za-  
lecanego autora jest ednaniem Daudeta ta  
okoliczność, że do żadnej nie należy parafii.  
„Jestem pan takim — pisze pod konio  
autor *Safony* — jakim starałem się być od  
lat trzydziestu, od chwili, kiedy wzięłem  
piór do ręki — niepodległym. Ochl tak,  
żadnych systemów, żadnych szkół, prze-  
dewszystkiem zaś żadnego niewrzeszonego  
probiusza.”

Podajemy tę szczerą tyradę dla charak-  
terystyki znanego powszechnie autora i dla  
zaznaczenia rozwoju, jaki dokonywa się  
w szkole realistycznej. Czyż jednak za-  
brano już tak wielką ilość „dokumentów  
ludzkich, ażeby pilno było porzucić je dla  
wizji, tak nadużytych w szkole roman-  
tycznej. Jeżeli chodzi zresztą o rodowód  
szkoły naturalistycznej, to polecam intere-  
sującym się tym przedmiotem dokumen-  
talną historję i estetykę tego kierunku,  
którą przepelniony jest najnowszy utwór  
Zoli, drukujący się właśnie: *L'Oeuvre*  
(Dzielo).

P.

## TEATR.

Pann Galasiewiczowi i pani Mollerowej  
teatr nasz powinien być bardzo wdzięczny,  
albowiem obdarzył go rublandą satnka.  
*Chata za wsią*, dramat przerobiony z powie-  
ści Kraskowskiego, jako dzieło *szczerze*  
posiada istotnie wszystkie czynniki, które  
mogą podobać się publiczności zarówno  
niewykształconej jak i przeciętnie inteli-  
gentnej, szukającej silnych lub efektownych  
wrażeń. O utworze tym podaliśmy, wzmian-  
kę pod raz pierwszy grały go przyjeżdżo  
towarzystwa prowincjonalne. Na wielkiej  
scenie zyskał dno, spotęgował wrażenie.  
Pod wzorzystą szatą kryje się przesłanie



z powieści prawo przystosowania się do otoczenia, występuje na jaw egoistyczny siła pewnego gatunku ludzkiego, która odtrąca obcego osobnika i odmawia mu przywileju współzycia w swojej sferze. Taglebaśna logika dramatu, tkwiona w jego faktach, potrącona dośw wyrażnie przez autorów, przed oczyma widza ginie w splowie barwnych, bardzo dobrze skreślonych scen milosnych, oraz wśród ożywionego ruchu mas zbiorowych. Żywioł uczuciowy, traktowany w sposób na pół idealny, łączy się tu harmonijnie z obrazowaniem życia kosmowniczego cyganów, oraz scen indy-wy-ch, a oba razem tworzą malowniczą całość. Zapewne, dzieło to jest przerobka, nie ma wybitnej wartości literackiej, ale jest z artystycznym smakiem szlachetnie pisaną sztuką na wielkie widowisko, w której autorowie przywołali na pomoc środki dekoracyjne i fantasmagoryę sztucznego oświetlenia.

Role główne dostarczył artystom pola do szerokiego popisu. Panna Marcello była doskonałą Azą, pełną ruchliwości, demoni-cznego uroku, sumującą się wśród przy-wó-w namietności, p. Leszczyński podnosił do nadto bohaterkiej wyżyny nastroj roli Tamrego, cygańskiego Romena, ale porywał siłą i ogniem; panna Wisniewska traktowa-ła zbyt lirycznie, zbyt miękko i nikiło rolę Motrny, której potrzeba było więcej pro-tyoty. P. Galasiewicz, gdyby miał głos głębszy i obalniejszy, zrobiłby większe wrażenie w roli głupiego Janka, traktowa-ny zresztą bardzo starannie i z pocuciem ludowego charakteru; p. Rapacki szagrał barwnie Lepiuka, podnosząc scenę śmierci przedstawieniem prawdziwym a umiarko-wanym; p. Kotarbiński nadał właściwą charakterystykę roli Aprasza, poważnego, zamkniętego w sobie przewodnika bandy cygańskiej. Na cześć reżyserji i wystawy wypowiedziano już szereg pochwalnych tyrad, zresztą zupełnie zasłużonych. Znaszą-cy tylko udatno wywoływanie efektów oświetlenia zapomną nowych przyrządów optycznych, wprowadzonych świeżo na naszą scenę po wyjeździe trupy meiningen-skiej.

Krótko się załatwić z innemi nowościo-mi, które zresztą nie przedstawiają materyału do głębszych uwag. Jednoaktówka Heilperina *Model na bohaterkę* jest niezbyt świetną farą niemiecką, napisaną dość wesoło i dość zgrabnie. Największą zaletą jest jej krótkość. Artysty, grający główne role, nie czuli się w swojej skórze.

*Deputowany z Bombinac*, 3-aktowa ko-medya Bissona, nie miała powodzenia, jest jednak dowcipna i wesoła, chociaż zbyt przypomina *Męza na wari*. Poparta głównie dobrą grą p. Tatarkiewicza, słucha się przy-jemnie.

Niewielkie łaski zyskała u słuchaczów stura, ale pełna datno nieocenionych zalet komedya Fradry: *Mąż i żona*, będąca do dziś pełną głęboką ironii satyrą małżeńskij niewiary i obrazom moralnej zgubiny sfer arystokratycznych. Dla wykastłowanego li-teracko słuchacza ma swój powab archai-styczna miejscami forma języka; na ogół sam przedmiot wywarłby większe wraże-nie, gdyby go z równą zdolnością obróbił pióru wielkiego talentu w formie zbliżonej do dzisiejszego smaku. Wyborną jest tu szczególniej satyra prawotności i obłudy obywatelowej, która stroi się strzępkami kaznodziejskiego frazesu. Rolę mę-a odegrał bardzo dobrze z właściwym wydo-byciem wszystkich subtelności p. Radnowski, równie szczęśliwą i naturalną żoną była p. Ludo, chociaż pod koniec brakło jej ży-wości. Przewrotną rolę subrekiti natural-nie oddała p. Leszczyńska.

Wypada mi coś powiedzieć o *Skrzyto*, jednoaktówce p. Gomulickiego, ale póz, kie-dy autor okropnie się gniewa na *zoilusa* \*).

Zresztą tę młą salonową gadaninkę, za-lecającą się tylko pewną dozą łatwości dyalogu, można uważać za pierwszą dra-matopisarską „próbę atramentu” zdolnego poety, po której następuje „oby mu lepiej się udaly.” Nie pomogła jej nikiej sztuce dobra gra p. Wolskiego i p. Wisniewskiej, która z wdziękiem i finezją odnawiała po-pusznarskie wspomnienie, a piosenka o pro-fesorze matematyki podbiła małoletnich słuchaczów.

S. K.

## FEJLETON.

### LIBERUM VETO.

Dziwne widoki. — Politykomani jako dźwignia my-słowa. — O przemianie gatunków szlacheckich. — Przebrakowi. — Życie na wsi i w mieście. — Jeszcze bal polski w Wiedniu. — Taniec polityczny jako sposób pokonania Bismarka. — Szczęra wesołości a la Ga-sparone. — Lekarstwo na biedę. — Niewyganiany. — Dalszy ciąg wojny pomnikowej. — Do Fikalskich.

Widziałem (w zeszłym tygodniu) biało-lasy, których drzewa odcięty i iskrajcy się w słonem szron; widziałem kuropatwy, oczekające przy drodze na zgubione z prze-jedżdżających sanek ziarno; widziałem diki po raz setny drwięce z wymierzonych ku nim łaz, ale bardziej od tych białych lasów, śmiałych kuropatw i zuchwałych dzików zdeptała mnie gromadka „szlach-ty”, z którą kilka dni przeprzeździłem. Po-mijam to, że nie widziałem ona we mnie złego Boruty z suchej wieczy „pozytywizmu” warszawskiego i że umiała zachować swą niezależność od napomnień miejscowego proboszcza, który z dworu i chaty wype-dza dyabła *Fradydy*, ale, co ważniejsza, obywateli i obywatelki nie powracali z balu i nie wybierali się na bal. Pojść nie mogłem, o czemu nikt mnie nie pytał: — Jakże tam panio karnawał w War-szawie — uczony — co?

Najwięcej rozmowy poociępiłszy naturalnie Bismarkowi i konkurencyj zho-zowci, ale dąto również ważnym spra-wom społecznym (do kieliszka i kart wole namawiany nie byłem). Nie mogę za-tać, że „szlachcio” od lat dwudziestu zna-cznie urosł. Opój, szalawia, koniarz, pa-nak następuje widocznie z pola, jak czoł-wiek dzięki przed cywilizowaniem uoleka w niezdobyte jeszcze kąty i tam utywa. Na miejsce ograniczonego i często nieprzy-tomnego „przedstawiciela narodu” wcho-dzi myślący przemysłowiec, który szuka sposobów podniesienia reaty gruntowej, szanując swego proboszcza głośno, podar-towywując z niego cicho, i ogarnia codziem

warokiem całą Europę. Naśmiano się już do syta z politykomanii naszych szlachci-ców; ma ona istotnie wiele rysów zaba-wnych, ale posiada również wielką zaletę: nie pozwala umysłom pętać ciagle po ni-zinach interesu jednostkowego, lecz nosi ją w sferę spraw ogólniejszych. Skrzyda-le bywają słabe i niezdolne oprzeć się wi-chochom fantazyi, ale zawsze są to skrzydła. Ażeby ocenić ich wartość, należy przy-jrzeć się umysłowym bezłotkom, ludziom, którzy wyłącznie gonią toczący się przed nimi pieniąż. Takim bezłotkiem jest nie-tylko chłop, ale także i może jeszcze w wyższym stopniu mieszczanin. Ten już nawet nie zaprzta sobie głowy ani Bi-smarkiem, ani Bułgaryą, lecz tropi osobiste zyski. Spółkalem niedawno dwu ludzi: jeden był rolnikiem, drugi — piekarkiem. Pierwszy w rozmowie wędrował ciagle za-mną po różnych dziedzinach społecznych, po gabinetach dyplomatycznych, zaważał nawet o literaturę i sztukę; drugi nie dał się odciągnąć od cen zboża i maki. Ale za to pierwszy wraze ze swą rodziną zaledwie kilka razy do roku bawił się, drugi zaś ciagle karnawałował. Jest to bardzo natu-ralnem. Nie tylko bowiem wieśniak ma mniej sposobności, ale mniej potrzeby ba-wienia się. Po za tym, pszonką, nawo-ziem, bydłem, końmi istnieją dla niego nie-zmierzone obszary polityki i zagadnień społecznych, po których cętnie bija. Mie-szczanin przez cały dzień liczy tylko ko-rzyści straty materialnej, wieczorem ledy dla odpoczynku musi pojeść do teatru lub na bal. Dawniej „szlachcio” wyprowadził sobie kulię, grj karciane, huźne tańce, jeżdżił na karnawał zimowy do Warsza-wy, na letni — do wód zagranicznych, dąs już tylko magaci lub bakterje niemian-skie pływają w roztrworach zbytku. Białe przymet ogólna dotknęła wszystkie stany, ale ostusowno najmniejsi rolników. Wła-ścicieli kilkunastu włók mus bardziej się kuroczyć, aniżeli właścicieli aklepu.

Oto przyczyny, wytwarzające sprężadność między życiem wielkowiejskiem a wie-śsiem: pierwsze huzy, skrzy się, wres; drugie idzie wolno, pociępie, poważnie. Jak śnieg szybko taje lub ginie pod mło-tami na ulicach Warszawy, a długi zale-gać pola, podobnie smutek rozprasa w życie mieszczańskiem a rozpociera awę ojenie na wiejskiem. Dzisiejszy „szlach-cio” opuścił głowę pełną kłopotów i rojen, przeszedł już śnieć o powrocie dostatk bez pracy, ale jeszcze rozmyśla nad Europą i własnym krajem. Jest to postać czasem wzbudzająca odragę swą pychą, próżnia-ctwem i ciemnotą, ale daleko częściej jest to strapiiony pokutnik, Feniks odradzający się z popiołów lub poważny obywatel kra-ju — ożwiok, któremu bądź współczucie, bądź szacunek odmówić niepodobna. Ujęć go w jakąś formułę trudno, bo się prze-kształca, przerabia, łamie, zgina i przysto-sowują do nowych warunków. Powozach-ny dawniej ty rozpada się na pięćdziesiąt i różne okazy pod młotem niedoli — po-tem dopiero zapewne to okrucy zlepią się według jakiegoś modelu.

Chociaż więc każy niemal szlachcio no-si krepę a częściej a jego piersi wybiegały westchnienia, nie śmiech, w okolicy, po której prześmąkłem, zabiegły mi drogę objawy pociągającego. Tam bowiem w ży-ciu głębiej i szerzej oddziałają się smutki ogólne, niż w płytkim życiu Warszawy, szmateryalizowanej do szpiku lub rozhu-lanej do beprzymiotności. Nie łanęcz tam ani dla odrzadzania biedy, ani dla przera-żania Bismarka. Nie tak w Warszawie, nie tak w Wiedniu. Zaznaczyłem poprzednio tygodnia, że w stolicy austrjackiej tanczono na złość kanclerzowi niemieckie-mu. Ani przypuszczalem, że ta intencya tak świadomie wyrażona była... ngami. *Neue Freie Presse*, która dotąd obierała poleką duszę jak cebule z wszelkich skór, nagle znalazła w niej twarde, zdrowe ja-

ryer (Człowieku), zasługującym na przytoczenie i za-pamiętanie

### O ZOILUSIE.

Specm rowia życie poety...  
Lęka w śnie tym często się zdarza,  
I jakby krytyk złośliwy  
Zajadłę gycie pieszczarza.

Potrąfi on się obronić,  
Byle-by rozemknął oczy —  
Leci często, zanim się zbudzi,  
Tamtę dośw król on utoczy...

Wieszcz widzi szawki krytyka,  
Krwiu swoją ufarbowane —  
Nigdy jednakże Jowisza  
Nie prapł o roli zamiane.

Najbardziej słodsze bóle  
Przekonał jego nie znając:  
I woli cierpieć gzywnie,  
Niż być... istoty gzywną. (Przyp. Red.)

\*) Głowa się padro dowcipnie w wierszyku (Kur-

dro — na balu. „Kto wyobraża sobie polaków — mówi ta przyjaciółka pełnych kieszek — w postawie tradycyjnie melancholijnej (!) i naczecowanej racjonalnością, ten wczoraj wieczorem przekonał się, że bywa inaczej, lepiej. Panowała bowiem na balu polskim taka swobodna i szczerza wesołość wśród gospodarzy i gości, jak gdyby *umyślnie* wybrano obecną chwilę, aby imponującą uroczą, którą przenikał duch wesela, przed całą Europą złożyć dowód, że pomimo potężnych, olbrzymich przeszkód i strapiń, siła pierwiastku narodowego polskiego tak jest wielka, iż nie tylko na arenie politycznej może odnosić triumfy (!), ale i w pogodnej atmosferze świąt balowej. Dzięki okolicznościom wczorajszy bal polski stał się po części festynem politycznym, w powietrzu bowiem, w nastroju drgała pewna demonstracja. Widział to było i z bogatych kostiumów staropolskich i ze zwycięskich ozdób pięknych polek, które jak gdyby dały sobie wzorów słonek, żeby dla *młodszych* drugiego oczyszczenia wyglądały jeszcze piękniej.” Złotyśmy nam taki szczytowy holi, dziennik łomaczcy, że skoro przy kieliszku można krzawić idee narodowe, czemżby nam nie można „polityki tanecznej?”

Ha! kto wie! Francja, Austria, Dania próbowały z ka. Bismarkiem walcząc broń — i przegrały; Anglia, Hiszpania i inne państwa niekiedy się do sztuki dyplomatycznej — i także przegrały. Może tedy taniec okazuje się orężem skuteczniejszym. Potrzeba tylko jednej rzeczy: żeby i kancłersz niemiecki zechciał taneczny. Bo że w walce, a madowszakto w maxnraz pokonałibyśmy go — o tem ani na chwilę nie wzięliśmy. Zruszając *coup de grâce* posłuszyliby nam „awtygiętko” czy pięknych polek, które dla młodszych „ożywczo” postarzałyby się wyglądając jeszcze piękniej. Jesteśmy dziś przekonani, że wszystkie wielkie teorie i przewroty polityczno-społeczne nie wywarły na życie nasze takowego wpływu, jak... *Gasparone*. Tam śpiewem, waleń, mi tanieciami uśmierzały wszystkie smutki a nawet robimy „demonstracje” przeciw najpotężniejszemu przeladcy. Prawdopodobnie już zejść z tego świata niwaj jak dziecko, które nie może pojąć ani „wypraw polskich do Afryki”, ani tańczenia polityki na złość Bismarkowi, ani „szczerzej i swobodniej wesołości”, ani wielu innych objawów naszej chorowatości „młodszych ożywczo”. Jeśli wszakże ja czegoś nie rozumiem, to nie znaczy wcale, aby coś było złem. Ale jeżeli jakiś środek okazuje się praktycznym w jednej potrzebie, czemuż go nie użyć w drugiej, podobnej? Wigo możeby np. nasi ziemianie zaczęli taneczny dla pokonania konkurencyi amerykańskiej? Po co szukać dogodnych rynków zbytu i tanich sposobów produkcji? Stańdę do maza w kilka tysięcy par — i *parę* zboża podkoszę na 15 rs. Ode to lepszego ekonomia społeczna od polityki, żeby się nie dała tanecznej?

Jeszcze o tem wszystkim nie słyszysz ks. Sułkowski, który dzięki tej filozofii osiadł w zakładzie obłąkanych w Oberdöbling. Jest on obecnie przedmiotem cichej walki między Prusami, które go za nie wydaliły nie chcą, i Austrią, w której obrębie leżą jego majątki, wymagające kurateli prawniej.

Chyba tańcem rozstrzygniemy sprawę projektów na pomnik Mickiewicza. Wystawione bowiem modele według pomysłu Mutkeji nie zadowolily nikogo a powoli z po za płoców mistrza wychyla się znówu z trzęsającą pracą p. Dykas, Komitet, zgubiony cieleciami, które sobie kupił, nie mając kłopotu, odroczył swój wyrok aż na trzy miesiące w nadziei, że przez ten czas wymyśli sposób nasycaenia wilka i uratowania kozy. Darenie! — trzeba było od razu wypić kielich gorzcy, bo go ani odsunąć, ani osłodzić niepodobna. Rzecz dzi-

wna, gdy ochota do składek ślubła, tańczyliśmy na pomnik Mickiewicza — i tak fatalnie on się nam nie widzie. Cobyśmy taniec nie zagnęwały wszystkich trudności? Hej, szanowni Fikalscy z Wiednia, objaśnijcie nas w tym względzie!

Posel Franczy.

## NA WIDNOKREGU.

Nie pójdziemy do Monaco. — 25 majatków na sprzedaż. — Inteligencya na prowincyi. — Błuro bezplatnej prandy prawnej. — Tryumfator ostrołeki. — Dręczyciel dzieci. — Skandal w teatrze lubelskim i skandal a powodu teatru lubelskiego.

„Nie pójdziemy do Monaco” — wola uroczyście *Diennik pociągów*, a zapewnienie to we własnym i pnenumeratorów wszystkich imionu powtarza prasa warszawska. Bardzo piękne hasło, byleby nie brano było tylko dosłownie i o więcej, bardzo łatwe do wykonania. Nie wątpię np., że żaden z 25 obywateli gubernii kieleckiej, których majątki w tych dniach sprzedawano będą przez licytację przymusową do Monaco nie pojedzie, chyba, że troskliwa o utrzymaniu większej własności fortuna obdarzy go jakim spadkiem. Dwadzieścim pięć majatków na sprzedaż w jednej gubernii, a za pół roku prawdopodobnie drugie tyle — przy tak szybkim „uruchomieniu” ziemi za kilkanaście lub kilkanaście tysięcy się możemy połowy jej bez żadnych praw wyjątkowych i funduszy nadzwyczajnych. Ciekawem byłoby zbadać nie bliższych przyczyn tego „ożywionego ruchu w tranzakcyach sprzedawczych”, nie każda bowiem ruina majątkowa jest następstwem marnotrawstwa. Nieobrachowane nakłady, kosztowne nielepszenia i t. d. pochłonęły może więcej majatków, aniżeli zyskał stan lub wydatki z powodu klęsk nieprzewidywanych. Dochodzą do pierwszego przyczyn, znajdujemy ją również i tu w lekkomyślności, która nie może spodziewać się nawet popłaśniania opinii publicznej, laskawczej dla wesołych i przyjemnych marnotrawców. Dla usprawiedliwienia tych ostatnich, wynaleziono dzisiaj, a raczej odwieziono starą makymę: „bogaci powinni wydawać pieniądze na zbytek, to dla nich jedyna możność spełnienia długu zaciągniętego a społeczeństwu.” Zdanie to, które nie bardzo pasuje z okrzykiem: nie pójdziemy do Monaco — wygłosiła kiedyś nr. Maryja Raczynska, kobieta, bez wątpienia, niepospolitego umysłu, ale która tak się znała na ekonomii politycznej, jak nieprzymierzając p. Choiński na filozofii. Popularyzator tej teorii dodaje jeszcze od siebie: bo jeżeli bogaci wyrzekną się kosztownych zabaw i strojów, wówczas zbankrutują kapey i pomrą z głodu rzemieślnicy. Dobrze powiada Prus, że hasło to nie było nigdy się fidszysem, lecz i przewrotnem. „Nie tylko bowiem propaguje fidszyzą ideę społeczną, ale jeszcze robi jaką skomplikowaną onotę z bardzo prostego występlu.” Teoria ta nie prowadzi wynawców swoich do Monaco, ale w rezultacie osadza ich na swojskim bruku i zamiast piętnować objawy paterycznej egzignizacji, robi a nich owsem pateryczny obowiązek. Widocznie jednak tego rodzaju paterytyzm traci grunt pod nogami; korespondenci zapewniają, że zabawy na wsi zupełnie prawie ustały. Pragnalibyśmy wiedzieć wszakże, co wpłynęło na „tancerzy odwetu”: czy nowo przyjeżdżający obowiązek nie iść do Monaco, czy też porzucenie starego obowiązku, który będąc właściwym tylko dla bogatych, przestaje nim być dla bankrótów.

Korespondent z Tomaszowa do *Gazety Lubelskiej* występuje w obronie inteligent-

cyi mało-miasteczkowej, której prasa zad rzuca brak życia umysłowego, koteryjność itd. Autor powiada, że każdy człowiek dobiera sobie towarzysztwo według przekonań własnych i ośposobienia, ponieważ zaś dobór odbywa się w ograniczonej liczbie osób, więc też i kółka bywają drobne. Braku życia umysłowego korespondent nie dostrzega, bo przecie książki czytają dużo, chociaż sam przyznaje, że „co tam czytają to inna kwestya,” dzienniki znowu nie budzą zajęcia, bo przychodzą zwykle spóźnione. Pomijam ten ostatni argument, gdyż nie rozumiem, jakim sposobem pewna wiadomość może być spóźniona dla tego, kto nie otrzymał jej żadną inną drogą, nie może jednak zgodzić się na to, żeby życie umysłowe polegało tylko na czytaniu książek, w dodatku jeszcze byle jakich. Ten właśnie brak żywego interesu dla spraw ogólnych, o którym mimobohodem korespondent wspomina, świadczy o drzemce umysłowej mieszkanków prowincyi i on to podtrzymuje koteryjność. Inteligencya w miasteczkach posiada taki zadni przed sobą, zadni drobny, ale pozytywne, a jednak nie przykład do nich ręki. Czy w wielu naszych miastach powiatowych istnieją czytelnie czy mamy do zbytku zakładów dobroczynnych, szpitali, szkół itd. Czy może być różnica przekonań w sprawie założenia ogrodu publicznego, składek na cele ogólne itd.? Przecież wszystkie to rzeczy nie należą do niepołączalnych mrzonek, od czasu do czasu dowiadujemy się, że to miasto zakłada nową szkołę, inno — szpital, inno znowu — czytelnie, że to urządzają wielokrotne literackie, tam znowu stałe przedstawienia amatorskie, z których dochód otrzymują niezamowni uczniowie. Dlaczegoż więc to, co jest dostępnem dla jednych, nie jest udziałem wszystkich miastaszch? Dlaczegoż mogą się odbywać odczyty w Skierniewicach, a nie ma ich chociażby w Tomaszowie?

Korespondent *placów* porusza te samą sprawę, twierdząc, że tak zwanej inteligencyi mało-miasteczkowej brak ludzi inteligentnych, młodzi bowiem ludzie z wykształceniem uniwersyteckim nie ochętnie osiadają na prowincyi. Wola oni zostawać w Warszawie i o chłodzie i głodzie wycekwiać na świetny los. Mówiliśmy już kiedyś o tem i słowa nasze wywoływały cały potok odpowiedzi, w których po za rozmaitymi, pięknie brzmiącymi argumentami, kryło się zwykłe, poziome dążenie do kariery. Najczęściej powtarzał się, chociaż najslabszym był argument, że lekarz, prawnik lub inny specjalista ma prawo wymagać wysokiego wynagrodzenia swej pracy; ponieważ byłoby wina na swoje wykształcenie. Panowie ci mają widocznie słabą pamięć, zapominają bowiem, że wydatki te ponosiło społeczeństwo w formie stypendyów, zapomóg na wpisy itp. i nie zastanawiając się, że funduze złożone przez rząd na utrzymanie zakładów naukowych pochodzą przecie z podatków, które płaci ogół, a przeważnie najuboższe jego klasy. Niechby ten młody lekarz, który nie może przecie żyć za żadne tysiąc rubli! spróbował wykształcić się w swej specjalności prywatnie (gdyby to było możliwe) lub raczej niech zrobił tylko ogólny rachunek kosztów swego wychowania, przekona się wtedy, że nie on ma prawo do wysokiego wynagrodzenia, ale owsem jest udziałnikiem społeczeństwa na znaczną sumę. Dług ten dosięga czasem takiej cyfry, że dla spłaty jego trzebaży życie całe poświęcić usługom dla ogół bez żadnego wynagrodzenia.

Drugim argumentem, którym młodzi specjaliści bronią się od wyjazdu na prowincję, jest ta okoliczność, że jedynie Warszawa daje możność dalszej pracy naukowej. Posenieć te słyszymy od lat co najmniej 15-tu i z tylu ust, iż zdaje się, że piśmiennictwo polskie powinno się chlubić licznymi pracami młodych uczonych. Co innego wszakże widzimy w rzeczywistości.



Pismienictwo nasze naukowe raz i niewyżymkiem ubóstwem, wyjątkowo zaś zdarza się znowu, że cenne bardzo prace (np. w dziedzinie medycyny) wydają ludzie, mieszkający na prowincji. Przedtemuż książkę obaj lub streścić artykuł któregoś z pism zagranicznych można tak samo w Pucnowie, jak w Warszawie. Wielej uczeni niejednokrotnie pisali swe dzieła w ustroniu wiejskiego lub w małej miejscowości prowincjonalnej, nasi znowu „młodzi konserwatyści” nawet w Paryżu pldziliby tylko ramoty.

Adwokaci radomscy potrafiliby stworzyć potężniejszą instytucję — biuro bezpłatnej porady prawnej, z której korzystać mogą ludzie ubodzy. Skromne to zadanie, ale ileż takich drobiazgów pozostaje jeszcze do spełnienia. Obecnie zażyłcyte biura poszli dalej, ponieważ włóczęgami, balsamowici przez pokątnych doradców, rzadko udają się po raę, adwokaci sami zaczynają szukać klientów bezpłatnych. Zawiedomienie o otwarciu biura rozszedli oni wszystkim proboszczom za próbą, aby wpływem swym poparli usiłowania wypięcienia pieniatwa.

Nie wiem, jak przyjmą książkę w Radomskiem to odeszła adwokatów, wiem jednak, że sprawiliaby ona niemały kłopot pewnemu proboszczowi z okolicy Kalisza, który w ciągu zeszłego roku miał aż 8 spraw w różnych sądach, przeważnie z ludźmi ubogimi.

Niekontent byłby również z tej instytucji książka G. w G. Jest to człowiek już niemłody i bardzo zamożny. Pewnego wiozora był on w gościnie u aptekarza i do późnej nocy grał w preferans. Około godziny jedenastej przychodził organista i oznajmia, że śnieg pada i dobrze byłoby zacząć zaprzędać do sniek konie (których, nawiasem mówiąc, proboszcz ma cztery), ponieważ piechota ciężko będzie iść. Na to proboszcz odpowiada: „zakoda koni, ale obudź dziańdwo kościelnych i każ im tu przyciągnąć sanie.” Organista obudził dwóch starców, kazał im przyciągnąć sanie przed aptekę, proboszcz wsiadł i szturchnął dziańdwo laską, pojechał do plebanii, odległej o pół wiorsty.

Gdyby biuro bezpłatnej porady prawnej istniało w Łomży, biedacy dziańdwo dzieliliby się może, że służy im prawo zaświadczenia do sądu tego naśladowcy rymskich tryumfatorów, którego postępki podobni do określenia prawne „udroczenia.”

Świeżo właśnie senat rozstrząsał sprawę, w której wyjaśnił, co należy nazwać udroczeniem. Pisaliśmy już poprzednio o pedagogu łódzkim, p. Wolnickim, który karał swoich uczniów okrutną rozgami i dyscypliną, przyciągał ich do ławki lub podłogi zapomocą sznura i specjalnie na ten cel przeznaczoną kółka żelaznego, wrzucie zamknął w kocio na całą dobę o chlebie i wodzie. Sąd okręgowy i I saba sądowa warszawska uwinoliły Heroda łódzkiego od wszelkiej odpowiedzialności z tej zasady, że Wolnickiemu oddawano zwykłe do poprawy dzieci zepsute, których rodzice sami prosili o surowe obchodzenie. Prasa nasza, która nie wiadomo dlaczego stała wszelki czyn samowoli i gwałtu, popochniła przez człowieka inteligentnego, stara się usprawiedliwić i nadaje obronitęj niemałe znaczenie sprawy ogólnej, bezosobczą w ten sposób cały naród, przeszłość jego i teraźniejszość — przyjęła wyrok z zadowoleniem. Ale senat słusznie bardzo zwrócił uwagę, że wola rodziców posiada pewne prawem określone granice, że udroczenia dokonywane przez Wolnickiego noszą wszelkie cechy gwałtu, którego i rodzicom względem dzieci dopuszczano się nie wolno i wyrok skazawał. Rzeczywiście, żaden zakład poprawczy, chociaż zmienia przebieg więzienia, nigdy nie stosuje takich środków

kary, które przypominają tortury średniowieczne. Wymowny adwokat drzeźciela wystąpi znowu zapewno z fraszami o ojcowskim stosunku przełożonego z uczniami, o tradycji naszej szkoły i innych pięknych rzeczach, ale właśnie dla honoru tej szkoły należy potępić surowo, mniejsza o to, jaki będzie wyrok sądu, nieudacze państwo się nad dziećmi potępić wyraźnie i dobitnie występnie nadużyte, nie zaś okrywać go płaszczykami zasady.

„Doniosłe znaczenie obywatelowe” teatru w Lublinie widzieliśmy się już na drugim, czy trzecim przedstawieniu. Dwie chórkiści spóźniły się trochę na scenę, ponieważ nieobeznana z miejscowością, trafiła nie mogła do właściwych drzwi. Reżyser, przyjmujący również udział w przedstawieniu, obasył je zato gwałtem brutalnych wysmysłów, które słychać było w całej sali. Przelożeniek dziesięciu nieuków, reżyser zaś tłumaczył się tem, iż nie wiedział, że nowy teatr posiada takie doskonałe warunki akustyczne.

Po szumnych pochwałach przedsięwzięcia budowy nastąpił teraz tajania zarząd teatralnego w Lublinie. Ta druga seria artykułów o teatrze lubelskim powstała z tak mizernych i poziomych pobudek, że budzi wprost obrzydliwość. Znalazły się pisma, które dały głos obrażonej dumie pp. reporterów, rozgiewianych, że zarząd nie czuł ich przybycia na koloi, oraz że reżyktor *Gazety Lubelskiej*, zjawił się dopiero przy końcu śniadania, co dowodzi braku szacunku dla przedstawicieli prasy warszawskiej. Sroży się najbardziej ta rzeczka reporterów, która w dziennikarstwie warszawskiem spełnia rolę ostatnio funkcję, w Lublinie zaś pragnęła „przedstawić” prasę polską. Że też p. Puchniński, który jako dyrektor teatru ogródkowych pamiętał nieraz o kolonych dla pp. reprezentantów, nie szepnął nic do ucha członkom zarządu.

J. Nieborski.

Kowno. Szkoła realna, do założenia której przyczyniła się najwięcej gmina żydowska, ofiarowała bowiem 15,000 rs. jednorazowo i 5,000 rocznego zasiłku, otwartą będzie już w r. b. to jest z początkiem roku szkolnego. Zarząd miejski bezpłatnie daje plac pod budowę gmachu i obecnie stałą zapomogą, którą przyrzekli również i obywatele okoliczni.

## ROŻNE GŁOSY.

### PRASA ROSYJSKA.

Nowoje Wremia, które z powodu mowy Bismarcka przytaczało zdanie Proudhona o szlachetności polskiej, z niedawnych nam przyczyn zmieniło nagle swój pogląd w tej sprawie:

„Zanotujemy wreszcie najnowszy rys wspólności sprawcy: na barykadach berlińskich w r. 1848 demokracja kosmopolityczna bratała się z polakami, a odtąd mieliśmy już komunę paryską, której dowódcami byli naczelnie ostatniego powstania, i stłyszeliśmy o niedawnych procesach stanu, przekonywających o związku demokracji kosmopolitycznej z marzeniami o odbudowaniu Polski. Wszystko to dowodzi, że demokracja polska, która widzieli w nich tylko feudalno-klerykalne tendencje, zmiarzała aż do przywrócenia państwowości państwa w prowincjach rosyjskich. Obecnie skądliw się nawet wiarą w podobne krącości. Tendencje arystokratyczne polaków, jak o tem świadczy historia, umięją zniknąć przed krącościami dziańdwo, o klerykach zaś i jezuitach

nich nie ma co rozprawiać, nie napróżno przecież nazywają ich czarnem stowarzyszeniem międzynarodowym, równoległem ze stowarzyszeniami socjalistycznym.

Nie chcemy przez to powiedzieć, iż sprawa Polski i rewolucji międzynarodowej są jednym i tem samem, ale Bismarck wskazuje w swojej mowie, iż możliwy jest chwilowy związek między tymi postronnie przeciwnymi obywatelami tak samo, jak ilustruje umiejętność polaków do zawierania związków ze wszelkimi potrzebnymi im stronnikami.”

### W S. Peterb. Wiedomościach czytamy:

„Obwieszczenie Prawit. wieśnika o procesie socjalistycznym, rozstrzaskanym przez warszawski sąd wojenny, dało powód *Moskowskim Wiedomościom*, do zbyt stanowczego wypowiedzenia wniosków o łączności sprawy polskiej z rosyjskim socjalizmem. Dziennik p. Katkowa twierdzi, że po roku 1863 polacy zaczęli się kojarzyć między innymi z rosyjskimi takimi spiskowcami. Właściwie wszystko to dowodzi tylko, że rewolucjonisci polscy i socjaliści rosyjscy gotowi są zawsze podać sobie dłoń nawzajem. *Moskowskija Wiedomości* mogłoby wskazać dawniej jeszcze przykład: dukabrycy z Pestelem na czele toczyli z polakami dyplomatyczne, co się nazywa, rokowania o przymierze. Fakt zapoznania się rosyjsko-polskiego na gruncie socjalizmu nie mogła wpatliwości, ale nie należy stać wzdornie, jakoby socjalizmem zarżnięto było całe polskie społeczeństwo, pod którego adresem *Moskowskija Wiedomości* przesyłały filipiki swoje. Przypowiedzieć można z pewnością zupełne fiasko pokusom zaszczeplenia w masach polskich drogą socjalizmu arystokratycznej idei odbudowania Polski; dobre warunki ekonomiczne dążyć trwale ją zabezpieczają przed tem niebezpieczeństwem. Z drugiej strony wpływy warstwy polskiej nie okłają chyba współzłota dla anarchii socjalistycznej. Raczej oczekiwaliśmy można nowych prób od anarchistów rosyjskich i międzynarodowych — poruszenia tej mało wyzyskanej roli w Polsce i rzeczą jest pożądaną, żeby społeczność polska sama siłami wspólnymi odparła te próby.”

*Moskowskija Wiedomości* podają ciekawą wiadomość:

„Donoszą nam że źródła, nie podlegające wątpliwości, że w październiku r. z. z rozkazu księcia bułgarskiego przyjęci zostali do służby i mianowani dowódcami parowców darowanych przez Rosję — emigranci rosyjscy, b. oficerowie floty: Włodzimierz Żucki i Sieriebriakow. Ostatni z nich przyjął nazwisko Blank i uchodzi za szwajcara. Obaj dotychczas dowodzą parowcami floty bułgarskiej, Sieriebriakow nawet zarządza w Kuszczuku oddziałem minirów, jako wyprobowany specjalista. Dotychczas kochającą wspólność państwa, dającą schronienie naszym wrogość, nie rozdawali im urzędów, ale utworzony przez nas rząd Bułgarii, którą wkręślił i ocalił krwcią naszą, przewrzeszył pod tym względem Szwajcaryję i Anglię.”

### KRONIKA BIEŻĄCA.

**Zakłady dobroczynne.** Z funduszu użyteczności publicznej użyta będzie suma 1 1/2 miliona rubli na założenie trzech przytułków dla nieuleczalnych chorych.

**Bank państwa** oblicza, że obecnie znajduje się w obiegu asygnał na 1,646,000,000 rs., zapas złota i srebra wynosi zaś tylko 171,472,495 rubli.

**Konferencya.** Pomimo przeprowadzenia Kolei Iwanogrodzko-dubrowskiej, omalibus przywłaż wola pasażerów z Radomia do Warszawy. Podróż kołami kosztuje 75 kop. od osoby, bilet kolejowy — 2 ruble.

**Sprawy kulebaki.** Projekt, wypracowany przez zarząd okręgu naukowego warszawskiego, zwlekania liczbą szkół w gub. lubelskiej i siedleckiej, którego wykonanie wymagało 900,000 rs. jednorazowego wydatku i 460,000 rs. rocznego wsparcia, odrzucony został przez ministerium oświaty, ponieważ nadawał on szczegółowe prawa szkółom niemieckim, istnienie któ-

rych uważa rząd za szkodliwe. Tak donosi *Nowoje Wremia*.

**Nowy kas Bismarka** w tysiącach odbitek rozrzuca się po całych Niemczech pod różnymi sensacyjnymi tytułami, jak np. „Starania Władysława o przywrócenie niepodległości Polski” itp.

**Szkółka sztygarów** w Dąbrowie otwarta będzie już w r. b.

**Zakaz** P. polemajstra warszawskiego zabronił małodziałom zajmować się sprzedażą nliczną zapalek, papierosów itp.

**Pisma polska**. P. K. Lewicki dyrektor warszawskiego Muzeum przeszerego, otrzymał pozwolenie na wydawanie miesięcznika p. t. *Początek*.

— W Poznaniu wychodziło zaczęło pismo ilustracyjne: *Gazetka*.

**Bibliografia**. *Sprawozdanie z piśmiennictwa naukowego polskiego w dziesięć lat nauki matematycznych i przyrodniczych* za rok 1884, Warszawa.

— *Ostojka, Szkice i obrazy*, Petersburg.

— *Rocznik Towarzystwa ogrodniczego warszawskiego* za rok 1885, Warszawa.

— *Hayek, Wielki atlas zoologii, botaniki i mineralogii*, Zeszyt 7.

— *Piotr Jaxa-Bykowski, Konkretni kaszeleni*, Kraków—Warszawa.

— *Kazimierz Burzyński, Tahir bej*. Powieść ze wspomnień życia obywatelskiego. Tomów 2, Warszawa.

**Lenarowicz** posiada w rękopisie kilka wykończonych poematów: *Soprata, Kolumna Trajana i inne*, oraz zbiór wierszy ulotnych p. t. *Liryki różne*, ale nie może znaleźć nakładu, któryby wydał te utwory, chociaż rozmaite wierszowane rymy wychodzą corocznie z druku.

**Novelle-Revue** drukuje powieść przedśmiercia Turgeniewa, którą zmarły powieściopisarz dyktował w ostatnich dniach życia. Wyjątki z pamiętników Turgeniewa zamieszcza *Ruskiya Starina*.

**Rosyjskie towarzystwo** zachęty przemysłu i handlu opracowało projekt „zabezpieczenia praw poddanych rosyjskich do pracy”, w którym żąda ograniczenia cyfry robotników cudzoziemców do 1/2 ogólnej liczby pracujących w fabryce. Dyrektorem fabryk mogą być tylko krajowcy.

**Statystyka**. Departament rolnictwa rozesłał stematy dla zbierania danych o hodowlach w Królestwie. Kwestyonarze te, zbyt może szczegółowe, są dwójakie: jedne dla wójtów gmin, dotyczące hodowli bydła u włościan, drugie dla obywateli ziemskich.

**Zmarli**. Jamina, sławny fizyk, sekretarz stały Akademii nauk w Paryżu.

— *Adam Bartoszewicz*, zasłużony wydawca *Biblioteki Młodej* we Lwowie.

— *J. Janicki*, zarządcy biblioteka Krasiełskich w Warszawie, bibliograf i historyk.

8

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

**Pani T. K. w Genewie**. Nie mając adresu Pani, musimy tu odpowiedzieć, że artykuł pomieszczony być nie może.

**A. H. Omyłka** zecera, nie autora, który wiedział, że szych w *Genewie* nazywa się *Voreux*, nie *Voreud*. Powiastka M., zdaje się, była już tomaczona.

**P. Z. Ar. w Kutnie**. Dobrych nie ma. Zofie Chociszewskiej o Siemelskiego.

**Niewiada**. Od formy do pseudonimu — wszystko w wierszu Pańskim okropne.

**P. E. Mak. w Olsztynie**. Posłałbyś do Horotyżycza (według stempla karty pocztowej), chociaż zdaje się, że Pan nie w naszej administracji prenumeruje *Prawdy*.

**P. K. w Petersburgu**. Za N-ry 51 i 52 nadesły nam się (z przesyłką) kop. 44.

**P. Ch. R. w Przasnysu**. Tom V Niemcewicza pózniej wyjdzie.

## Ogłoszenia.

### BOLESŁAWA PRUSA

(Aleksandra Głowackiego)

## SZKICE i OBRAZKI

tomów 4, z portretem autora

Caołość rs. 5, każdy tom pojedynczo rs. 1 kop. 50.

Tom pierwszy zawiera utwory następujące:

Nowy rok. — Żywy telegraf. — Na wakacjach. — Kocha nie kocha! — Kalendarz. — W Górach. — Kamietka. — Ciężkie Pomaluje. — Przeglądzie szkole. — Przy kielisku. — Milczenie glosy. — Stara bajka. — Pleśń świata.

Tom drugi:

Orestes i Pylades. — Os. — Podwójny człowiek. — Na pogrzebie. — Echa muzyczne. — Rad. Dudkowskiego i jego folwark. — Grzechy dziełstwa.

Tomy następne wydają krótko.

Przesyłający pieniądze bezpośrednio do kantoru Spółki kosztów porta pocztowego nie ponoszą.

Abonentowi prowincjonalni otrzymają wszystkie tomy razem.

### SPÓŁKA NAKŁADOWA.

Zielna 7-A.

Nakładem *Prawdy* wyszło ilustrowane dzieło słynnego badacza angielskiego J. E. Taylora p. t.:

### ZMYŚLNOŚĆ I MORALNOŚĆ ROŚLIN

w przekładzie J. K. Potockiego.

Książka ta, która liczy zaledwie parę miesięcy a już zapowiadana jest w przekładach na kilka języków europejskich, w mistrzowski sposób, w niegwałtownych ścisłości naukowej upodobnieniach stosunków roślinnych do ludzkich popularyzuje prawdy i najnowsze odkrycia botaniczne, otwierając najmniej przygotowanym nowy a uroczysty świat zjawisk.

**Przed:** Przebiegłość kwiatów. — Ich dyplomacja. — Gra w chowanego. — Obrona nie szczepka. — Współdziałalność. — Społeczne i państwowe gospodarstwo roślin. — Ubóstwo i bankructwo. — Rabunek i morderstwo. — Odwrotna strona medalu. — Geograficzne rozpowszechnienie roślin.

Cena (w gustownej oprawie) rs. 2; dla abonentów naszych, rs. 1 k. 50.

Zwracający się z zadaniami bezpośrednio do naszej Administracji kosztów przesyłki pocztowej nie ponoszą.

SPÓŁKA NAKŁADOWA wydała studium etnograficzno-społeczne W. Smoleńskiego p. t.:

### DROBNA SZLACHTA

W KRÓLESTWIE POLSKIM.

Cena kop. 60.

### J. Brandes

Główne prądy literatury XIX-go wieku.

Tom I, II i III po rs. 1 k. 50, tom IV rs. 2. Całe dzieło rs. 6 (z przesyłką pocztową).

**Prawda** od r. 1881 do 1886 oraz osobno numeru.

**Przyroda i przemysł** od 1872 r. do 1880. Księga świata z różnych lat.

**Revue des deux mondes** od 1863 do 1876 oraz inne pisma pojedynczo w Księgarni E. Hermanszta 5to-Krasyka Nr. 36 (26), tamże kupują się wszelkie książki.

### SPÓŁKA NAKŁADOWA

połącza następujące wydawnictwa swoje: **Chmielewski Piotr** dr. Antorki Polacko-wieku XIX. Studium literacko-obywatelskie, odozobione sześcioma portretami, str. 541 rs. 2 kop. 50.

**Jerzy Brandes**: Główne prądy literatury europejskiej XIX w. Tom V. Szkoła romantyczna we Francji, z portretem autora str. 402 rs. 2.

**Herbert Spencer**: Zasady etyki, z 3-go wydania oryginalna angielskiego przełożył Jan Karłowicz rs. 2.

**Światetko**. Książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono wybitniejszych pisarzy polskich, w odozobnieniu, z drzeworytami w tekście rs. 1 kop. 80

**Stanisław Kramsztyk**: O postaci i ciężarze ziemi kop. 50.

Nabywający dzieła powyższe w kantorze Spółki (Zielna 7-A) kosztów przesyłki nie ponoszą.

Redakcja *PRAWDY* zawarła umowę z p. K. Bartoszewiczem, na mocy której tytuł jego wydawnictwa został pisarzy polskich otrzymywać mogą nasi prenumeratorowie po nadzwyczajnie niskiej cenie, a mianowicie 15 tomów dzieł: J. N. Niemcewicza (5 tomów), Jana Kochanowskiego (4 tomy), Ignacego Krasiełskiego (5 tomów) i Satyry Opalińskiego (1 tom), których i tak już niska cena księgarska wynosi 11 rs. 25 kop. — odstępuje p. B. dla naszych prenumeratorów za 5 rs., czyli że tom tego wydawnictwa (280—330 str. druku) wypadnie za 33 kop.

Abonent z prowincji zechce dołączyć na koszt przesyłki rs. 1.

Pojedynczo można nabywać w naszej Administracji:

Dziela J. M. Niemcewicza za 2 rs. 25 kop. Dziela Ign. Krasiełskiego za 2 rs.

Dziela Jana Kochanowskiego za 1 rs. 50 kop. Satyry Opalińskiego za 50 kop.

Upraszamy o wczesne zgłaszanie się z powodu niewielkiej ilości kompletów.

Dotąd nadesłano nam tylko 14 tomów, ostatni zaś (V Niemcewicza) ma wyjść za kilka tygodni.

### Nakładem Prawdy

wydana została i jest do nabycia książka p. t.:

## MĘCZENNICZY MYŚLI.

Cena rs. 1 (wraz z przesyłką pocztową).

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincji upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdym opóźnieniu lub niedoborze *PRAWDY*. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratory „*PRAWDY*” otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.